KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 5 zł.

FILOZOFOWIE JEDYNIE RÓŻNYMI SPOSOBAMI OBJAŚNIALI ŚWIAT, CHODZI JEDNAK O TO, ABY GO ZMIENIĆ

KAROL MARKS

Rok 1 **Łódź, 9 grudnia 1945 r.** **Nr 15**

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSZE

DRZEWO ROZPACZAJACE

Oto zima jerozolimska
w deszczu i w wietrze.
Z rzadka przez chmury się przetrze
promień i trwożnie błyska.

A wtedy pradawny gród
oślepia bielą budowli,
syci oko zielenią soczystą
i w mądrość nurzając się czystą
dziesiątkami świątyń się modli
dziękczynnie za upust wód.
Getsemani, Góro Oliwna,
Dolino Józefata,
ciche cmentarze —
jakaż to siła dziwna,
z wami czekać mi każe
na koniec świata?
Spróchnieją i moje kości
pod jakąś grobową krypią,
lecz dziś — widzę — przeczy nicości
cmentarny eukaliptus.

To drzewo, bite przez deszcz i wiatr,
szamoce się w strasznej męce,
wyciągając bezradnie w świat
rozchwiane, zielone ręce.
Drzewo szumi, — to jego płacz,
zawodzenie, jęk wniebogłosy.
Tak samo płaczka rozdziera płaszcz
i popiołem posypuje włosy.
Drzewo włosy tarza po ziemi
i znów podnosi ramiona,
aby się modlić słowy bluźnierczemi,
kląć modlitewnie: „Adonaj!"...

Drzewo, po ziemi tarzające łbem,
i w buncie rozpaczające,
ja z tobą, drzewo, szumię jednym tchem,
najsamotniejszy pod słońcem:
mną także szarpie napastliwy wiatr,
do ziemi zgina ulewa,
dwa lata wrastam w twój zamarły świat,
gnę się, prostuję i — śpiewam!

Nie wiem, gdzie kiedyś całkiem wrosnę
w grunt,
gdy przyjdzie mi kości złożyć,
lecz niech mi śpiewa swój ból i swój bunt
takie drzewo, podobne do brzozy.

MONTE CASSINO

Nasze granice naszli znienacka,
słupy graniczne zewsząd zrąbali...
Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
w dymie eksplozji, w huku batalii.

Nasze granice?... — Trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy.
My już to wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

Idzie Karpacka, idzie Kresowa,
walą armaty, trzeszczą spandauy.
Tu nam nie ujdzie, tu się nie schowa
wróg, uzbrojony w broń doskonałą.

Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
każdą bojową chrzęszcząc maszyną.
My was znajdziemy, choć po omacku,
w Monte Cassino! W Monte Cassino!

Padnie nas wielu w pięknej Italii,
żywi umarłych grzebmy i liczmy,
potem pójdziemy dalej i dalej
stawiać, przestawiać słupy graniczne.

Nasze granice? — „Póki żyjemy",
wszędzie, gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy, krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYCIECZKA MALARSKA

Domki stadem srebrnopiórych gołębi
osiadły na stromym zboczu.
Zieleń młoda, szary błękit wzgórz w głębi—
to wiosna dla naszych oczu.

Namaluj to, Alicjo, akwarelą,
a ty, Krystyno, narysuj:
niech się w niebo Galilei wanielą
rzewne pochody cyprysów,

niech się bielą cieszą młode czereśnie,
jak psotne arabskie dzieci,
eukaliptus niech jak brzoza westchnie,
że w niebo nie może wzlecieć.

Dla tej plamki zielonkawej, Alicjo,
przymykam oczy, jak do snu,
żeby usnąć w jej radości i śnić ją,
budząc się bardziej radosny.

Jak dobrze jest patrzeć się w błękit nieba,
siedząc na ziemi w ogródku...
Właściwie, Krystyno, czego nam trzeba?—
chyba ucieczki do smutku.

Waszą młodość piję dzisiaj, jak wino,
nacóż więc łezka liryczna?
Śliczne jesteście, Alicjo, Krystyno,
i Galileja jest śliczna.

PEJZAŻE PALESTYŃSKIE

I

W górach Judei

Głazy judejskiej opoki
bielą się, niby grobowce,
a ponad nimi obłoki —
libańskie owce.

Wielbłąda z dzwonkiem na szyi
wśród głazów, — rzekłbyś: wśród ruin, —
wiedzie ku studni niczyjej
czarny Beduin.

Bezdomnie tułaj i tęskno,
a błękit pełen goryczy.
Niczyje to martwe piękno
i jam też niczyj.

Wśród głazów i wieków cienia
cyprys tkwi po cichutku,
jak w poemacie milczenia
wykrzyknik smutku.

II

Nahariah

Pod Nahariah, na prawo
od drogi jerozolimskiej,
trwa, niewzruszenie jak prawo
akwedukt rzymski.

Powstał z woli cezarów,
która niewolnym lud czyni,
gdy padły w blasku pożarów
mury Świątyni.

A dziś ruina urąga
Romie i znaczy jej dzieje,
lecz Roma trwa — w wodociągach
przez Galileję.

Palmy wśród łuków w oddali
wraz z nimi idą i giną...
— Dokąd, wędrowcze? — Ocalić
wielkość ruinom.

III

Zachód nad Morzem Martwym

Nad Morzem Martwym zachód
niesie zagładę chmurom:
miastom powietrznych gmachów,
przepastnym murom.

Słońce — groza widoma —
pali je krwawym ogniem.
To tu spłonęła Sodoma
za krew i zbrodnie.

Dziejowa zmiotła ją burza,
głazów pokryła warstwą,
i suchy wspina się burzan
na skałę martwą.

— Wędrowcze, nie czas nam błądzić
wśród niebios i dziejów mroku:
idziemy karać i sądzić,
przyśpieszmy kroku.

MALARIA

Biją zegary, pieją koguty,
chininą szumi malaria.
Śni się, że idę, szczęściem otruty,
ty idziesz przy mnie, umarła.

„Więc ty umarłaś? Miła, ratunku!
Powiedz, czy jest w twojej mocy
oddać mi jeden z twych pocałunków
z tysiąca i jednej nocy?

Zgubiłem serce, dwa gwiazdozbiory
i dżakarandy kwiat dziwny..."
(Wiem, że to przez sen, że jestem chory
i we śnie jestem naiwny).

Ty wtedy ku mnie twarz swą anielską
zwracasz (nie tak, jak umarli)
i nie wiem czemu, lecz po angielsku
mówisz cichutko: „My darling"...

Pieją koguty, biją zegary
swe niepotrzebne godziny...
Ach! trzeba było snów i malarii
i trzeba było chininy.

ANONIM

Jak poryw melodii, jak powiew bzu,
kiedy w Polsce nad Wisłą bzy kwitną,
jak szczęście, płynące falą woni i snu
mazowiecką pogodą błękitną,
jak to, czego nie było, jak to, co ma być,
ale jeszcze niepewne i trwożne,
jak pierwiosnki, jak brzozy przydrożne,
jak powój, co pragnie się wić,
jak zieleń, rozhukana w maju,
jak woda, co brzegi rwie,
jak jaskółki, co w niebie śmigają
po dwie,
jak lot ogromnego ptaka,
jak szczęście w Słowie, —
ona właśnie była we mnie taka
i zaciążyła ołowiem...

WAR PICTORIAL NEWS

Z troski się nie wywikłam,
niedoczekanie moje,
do tęsknoty przywykłem
rozpaczy się nie boję.

Może będę na wojnie,
może nie będę (z musu)...
W kinie „Orion" spokojnie
patrzę na „Pictorial news'y"

Bomby na Hamm, na Essen,
na Berlin, na Kolonię!
Za każdą bombą lecę
sercem na spodochronie

i błogosławię dymom,
i błogosławię zgliszczom
i aniołom - olbrzymom,
niechaj lecą i niszczą!...

A potem kręcą bujdę,
pełną głupich awantur,
więc chyba sobie pójdę
i pomyślę o tamtym,

co powraca bez przerwy
i nie daje spokoju,
co mi serce z rezerwy
codzień rzuca do boju...

Z troski się nie wywikłam,
smutkom się nie opędzę,
do tęsknoty przywykłem...

Byle prędzej już, prędzej!

MARIA KUNCEWICZOWA

DOM

(Wizja przyszłego fin de siecle'u)

Minęły grupę brzóz, przeszły w skos trawnik, nakrapiany mleczami i siadły na ławce u krawędzi wąwozu, po którego stronie drugiej stał Dom. Często tam przychodziły posiedzieć razem w przedwieczornej godzinie, odkąd Priscilla odkryła, że Wanda musi znać sekret Domu. Priscilla, od miesiąca instruktorka jednej z grup osiedla szkolnego w europejskim miasteczku, Kazimierz nad Wisłą, była młoda, miała usposobienie badawcze i dyplom studiów wyższych. Czytała dużo. Bardzo ją zastanawiała, oczywista w starych powieściach, potęga czegoś, co klasycy angielscy nazywali „home, sweet home". Ta rzecz, bynajmniej nie zawsze odpowiadająca określeniu „sweet", najwyraźniej była w ścisłym związku z domami. W dotychczasowych przelotach Priscilla napotykała nieraz zabytki historyczne, określane jako kościoły, w każdym również prawie osiedlu był jeden, nierzadko dwa i trzy Domy, które się zwiedzało, by nabrać pojęcia o bycie ludzkim sprzed Wojny Światowej Nr 3. Jednak ani oglądanie przedglobalnych wnętrz, ani globalne wykłady przedglobalnej historii, nie rzucały światła na właściwy sens rzeczy zwanej Domem przez Europejczyków z Epoki Złych Komunikacji. Dopiero kilka tygodni temu, kiedy Priscilla przyleciała z Hong-Kongu do Kazimierza, okazało się po pewnym czasie, że Wanda z sąsiedniej koi w schronie Nr 160 jest kobietą starą. Kobietą, która wiele lat spędziła niegdyś mieszkając w Domu. I to właśnie w owym jedynym, pozostałym z Epoki, Domu Kazimierskim, sterczącym tak niepokojąco na szczycie zielonego wzgórza.

Po trzech Wojnach Światowych starzy Europejczycy, zwłaszcza kontynentalni, byli rzadkością w Republice Globu. Starość zresztą nie była łatwa do rozpoznania, odkąd jej symptomaty zewnętrzne usunięto. Co do Wandy, Priscilla od razu odniosła wrażenie, że jest to istota szczególna. Przede wszystkim miała sporo własnych przedmiotów. Do łazienki wchodziła z ręcznikiem na ramieniu i tylko tego ręcznika używała, zabierając go później z powrotem do koi, mimo, że był mokry. Mówiła o nim: mój ręcznik. Był płócienny, z haftem czerwonym i czarnym u dwóch krańców, z literą W, zupełnie niepodobny do globalnych ręczników. Płyny odżywcze Wanda mieszała w szklance zawsze tą samą łyżeczką, którą wyjmowała z torebki i która nie była z materiału plastycznego, tylko ze srebra. Nad łóżkiem nakleiła sobie fotografie osób bardzo dziwnie wyglądających, jedne bardzo niskie, drugie bardzo wysokie, wszystkie o przesadnych wyrazach twarzy, jak w przedglobalnych filmach, mężczyźni inaczej ubrani, niż kobiety. O tych osobnikach Wanda mówiła: „to jest moja rodzina", co także bardzo dziwnie brzmiało. Aż wreszcie Priscilla stwierdziła, że — w porze, kiedy w hali Globalitowo-Różanej odbywają się koncerty i tańce — Wanda odchodzi do koi i tam klęka przed podobizną krzyża, na którym śmierć poniósł ów przedglobalny szaleniec, zwany Bogiem-Człowiekiem. Priscilla pojęła wtenczas kto jest Wanda: stara Europejka z Kontynentu.

To odkrycie wstrząsnęło Priscillą. Od dawna pragnęła spotkać kogoś starego, i to z Kontynentu. Tylko taki ktoś byłby zdolny wytłumaczyć jej tajemnicze właściwości Domów. Priscilla nie bardzo lubiła zajęcie instruktorki szkolnej, które miała wykonywać w okresie trzech najbliższych przelotów, jak również dalsze instruktorskie zajęcia, wpisane do jej karty pracy. Wszystkie były do siebie podobne, wszystkie sprowadzały się do funkcyj policyjnych; uważała je za przeżytek. Bo i o czym że instruować dzieci w szkołach, aktorów w pracowniach filmowych, czytelników w bibliotekach, jeżeli dla każdej czynności istnieją wszędzie, jednakowe na całym świecie, szczegółowe wskazówki w powszechnie przyjętym języku? Wskazówki nieprzerwaną falą płyną z aparatów radio-telewizyjnych, z cichych i głośnych broszur, ogłoszeń świetlnych i matowych, z kieszeni, spod poduszki, z drzew... Wiedza praktyczna została jak gdyby rozpylona w atmosferze ziemskiej, wchłania się ją nieświadomie o każdej chwili życia.

Priscilla ceniła sobie raczej swój fach rezerwowy: objaśnianie tekstów. Jako istota urodzona w Anglii, jeszcze w Epoce Złych Komunikacyj, zaliczona została do pepiniery Mózgów Europejskich. Nauczono ją trzech jeszcze języków martwych, znała więc: angielski, francuski, niemiecki i włoski. Poznała także powieści klasyczne w tych językach oraz zasadnicze pojęcia i obyczaje ludzi przedglobalnych. Możność studiów klasycznych była jednym z licznych uśmiechów globalnej kultury, sprawą bezinteresowną, oderwaną od rzeczywistych potrzeb — luksusem, na jaki mogła sobie pozwolić Jedna Niepodzielna Pierwsza i Ostatnia Republika Globu.

Jednak to Priscille gniewało, że ani w osiedlach szkolnych, ani w pracowniach filmowych, ani w bibliotekach, ani nawet w Eros-klubach, gdzie tak było nudno, nikt nigdy nie korzystał z jej rezerwowych wiadomości. Po prostu nikt nie wiedział o istnieniu — niegdyś — Antoinetty Buddenbrook, albo Mrs. Dalloway, które Priscilla uważała za osoby bardziej intrygujące od członków Rady Globalnej. Nikt także nie interesował się np. pałacem w Manderley, którego tajemniczy pożar niegdyś tak zasmucił tajemniczych państwa de Winter. Priscilla rozumiała, że większość jej partnerów i pupilów — przeważnie żółta, często czarna — nie mogła przywiązywać wagi do przedglobalnych Niemców, czy Anglików, oraz do ich mieszkań. Ale biali — zwłaszcza Szkoci — trafiali się jeszcze we wszystkich prawie środowiskach globalnych. A przecież i oni nie zadawali pytań, do których zachęcała odznaka Komentatorki Tekstów.

Bezużyteczna, niewentylowana wiedza Priscilli zdawała się burzyć i rozsadzać mózg. Komentatorka Tekstów, im mniej miała nadziei, by ktokolwiek pytał ją o spalone pałace, tym mocniej pragnęła sama pytać kogoś o sens dnia przedglobalnych czasów, dnia Mrs. Dalloway, którego wszystkie minuty promieniowały w stronę jednego jedynego kominka. Dnia, który się toczył po ulicach i po obłokach w tym celu, by jego refleksy oświetlały Dom. Otóż właśnie Dom... Miejsce, skąd wychodziło się na krótko, dokąd o każdej porze wracało się na długo. Miejsce, gdzie nikogo prawie nie było, ale przedmioty zdawały się mówić, powietrze drżało, jak harfa.

Stanąwszy przed Wandą, Priscilla — niepytana — nareszcie pytać mogła.

Pytanie pierwsze brzmiało:

— Jak dawno jesteś w Kazimierzu i co tutaj robisz?

— Jak dawno? — powtórzyła Wanda z tym samym przesadnym grymasem, jaki mieli ludzie z jej fotografii. Z grymasem, wyobrażającym zapewne sprawę, zwaną przez francuskich klasyków „rêverie" — Jestem bardzo dawno. Urodziłam się tu przed Wojną Nr 1. Ta wojna nie wypędziła jeszcze dzieci z domów, więc przeżyłam ją tutaj. Jak również antrakt między wojnami Nr 1 i Nr 2. Wojna Nr 2 wypędziła mnie i z domu i z kraju. Stałam się tzw. refugee. Po i z domu i z kraju. Stałam się tzw. refugee. Schroniłam się do Ameryki. Początek wojny Nr 3 zastał mnie tam, mieszkającą w willi własnej. W Ameryce przemysł szalał wówczas na użytek wewnętrzny i wszyscy mieli śliczne własne wille. Dopiero wojna powietrzna Nr 3 zburzyła domy wszystkich kontynentów. Ale ja wtedy nie byłam jeszcze dość stara, by ubiegać się o prawo osiadłości. Jak wiesz zapewne również, wszyscy światowi refugees zostali przez Radę Globu przeznaczeni na instruktorów podróżnictwa. Więc przez lat parę (czy, jak wy mówicie-przelotów) pełniłam służbę instruktorską po różnych kursach i obozach świata. Wreszcei nastał dla mnie „czas stałego adresu" — obrałam Kazimierz — wróciłam. Właściwie jednak wydaje mi się, że byłam tu zawsze, w moim domu na górze.

Ten bardzo długi monolog, pełen archaicznych słów, pełen niejasności, oszołomił Priscillę. Nie wiedziała od czego zacząć dalsze pytania, uczepiła się więc myśli już sformułowanej.

— Co tu robisz? — spytała po raz drugi. I po raz drugi Wanda uśmiechnęła się z wyrazem, który zapewne oznaczał „rêverie".

— Co robię? To co dawniej: bukiety.

*

Trzy tygodnie upłynęły od powyższej rozmowy. Teraz Priscilla z Wandą siedziały o zmierzchu naprzeciwko Domu.

— Owszem, przypuśćmy — mówiła Priscilla — przypuśćmy, że nasze nocowanie w schronach jest skutkiem urazu psychicznego po trzech wojnach powietrznych. Bezpieczeństwo globalne zostało ustalone stosunkowo niedawno. Ja sama nie pozbyłam się mego dziecinnego strachu przed niebem, niechęci do słońca i księżyca, do okien, do miejsc nienakrytych globalitowym sklepieniem. Rozumiem, że przed wojnami totalnymi ludzie tych urazów nie mieli. Ale to nie tłumaczy instytucji Domu. O ile dobrze zrozumiałam stare książki, dom, zwłaszcza dla kobiet, nie był tylko kwestią nocy. To także była jakaś przewlekła sprawa dzienna. Trwająca całe życie. A raczej chyba całe pokolenia... Co to znaczy?

— Jak ci to objaśnić? — westchnęła Wanda. —Przede wszystkim przypomnij sobie, że zakaz osiedlania się istnieje także od niedawna. Dawniej nie tylko starcy, dawniej wszyscy mieli prawo mieszkać stale w jakimś jednym kraju. Czyż nie pamiętasz słowa „ojczyzna"? To było jedno z najgłośniejszych słów...

Priscilla ściągnęła brwi.

— Owszem, pamiętam to słowo. Kiedy byłam mała, za czasów wojny Nr 3, często obok mnie w schronach londyńskich nocowali refugees. Wtenczas jeszcze miewało się matki i refugees nieraz rozmawiali z moją „Mummy". Później marszczyli się, jak gdyby im coś wpadło do oka, i wykrzykiwali to słowo. A „Mummy" kiwała głową: „I see what you mean. You mean you miss your country". Wiem. Francuscy k. ycy nazywali tę rzecz „patrie".

— Więc właśnie. W takiej „patrie" mieszkało się — na zawsze. Z ojca na syna. Z dziadów na wnuki. A jeżeli gdzieś trzeba było stamtąd wyjechać, zaczynała się tęsknota. Rozumiesz? Sehnsucht. Cafard.

— Nie rozumiem. Ale gdzież w końcu wy, starzy Europejczycy, spędzaliście wasz nieskończenie monotonny, bezprzelotowy czas: w domach, czy w ojczyznach?

— W domach. Tylko, że domów nie mogło być bez ojczyzn. „Sweet home" to znaczy: dom w ojczyźnie.

— Za trudno się wyrażasz.

— Czekaj... Teraz ludzie, póki są młodzi, muszą zmieniać kraj zamieszkania co roku. Zasadą ustroju globalnego jest: Wszyscy są Wszędzie. Wszyscy mają Wszystko. Dawniej tak nie było. Dawniej ludzie nie lubili być Wszędzie. Lubili jeden kraj. Często jedno tylko jakieś miasto, albo wieś. A nawet jedną ulicę. I nie lubili Wszystkiego. Lubili swoje rzeczy.

— Mów po globalnemu!

— Ach wstydzę się... Nie opanowałam jeszcze dobrze języka globalnego.

— Tak, masz niedobry akcent. Ale to wolno starcom z Kontynentu.

— Mniejsza o akcent — moje myśli nie mieszczą się w globalnych słowach. Nie potrafię ci nic wytłumaczyć. Spróbuję opowiedzieć. Co chcesz, żebym ci opowiedziała o Domu?

Priscilla spuściła głowę. Po chwili milczenia, gryząc jakąś trawkę, zaczęła mówić:

— Na samym początku książki o Buddenbrookach jest taka scena: stara kobieta, dziwnie ubrana, z włosami w nieładzie, biegnie przez ulice miasta. Spotykają ją stary mężczyzna, zwany pastorem, i pyta: „co się stało?". A ona odpowiada: „idę się utopić do rzeki, bo mężczyźni z innego kraju weszli do mojego Domu i zabierają mi moje srebrne łyżki". Po czym mężczyzna, zwany pastorem, nie pozwala tej starej kobiecie biec do rzeki, wraca z nią do jej Domu i tam tłumaczy mężczyznom z innego kraju, że srebrne łyżki powinny pozostać w szufladzie... Otóż ta scena męczy mnie w snach. Kiedy byłam mała, raz w schronie, podczas gdy mężczyźni z innego kraju rzucali bomby na Londyn, otworzyła się walizka mojej „Mummy"... Wypadła z niej łyżka. „Mummy" przycisnęła tę łyżkę do serca i powiedziała: „to wszystko co zostało z mego Domu". I w jej oczach były łzy. Wando... Ty także nosisz w torebce własną łyżkę. Ale patrz — twój Dom ciągle stoi. Mężczyźni z innych krajów nie zburzyli go. Czy chciałabyś w nim znowu zamieszkać razem z twoją łyżką?

Zapadła cisza. Księżyc bardzo czerwony wynurzył się zza brzóz i szyba wielkich drzwi szklanych, prowadzących na taras Domu, błysnęła. Cicho było i ciepło, poprzez powietrze smugami ciągnęły wieczorne zapachy; raz maciejka, raz nikotiana, raz lilia. Na konarze dębu paw bił skrzydłami w stronę Zachodu i co chwil parę wydawał ze siebie wielki krzyk, emfatyczny i dziki. Kiedy ów krzyk leciał przez ciszę ku Wiśle, skrzydła ptaka tężały, szyja wyprężała się w ślad za krzykiem, coraz łagodniejszym w miarę oddalenia. Z lasku brzezinowego na stoku wzgórza odezwał się słowik. Paw ruszył ciężko z gałęzi i odleciał na dach. A słowik śpiewał dalej — tak skupiony, żarliwy — jak gdyby i słońce i księżyc istniały w jego sercu.

Wanda odrzuciła głowę na oparcie ławki. Białe zęby w jej smutnych ustach zalśniły jak młode.

— Nie — odezwała się wreszcie — po co mi Dom, kiedy świat istnieje? Nie. Nie chciałabym już nigdy mieszkać w Domu. Nie mam na to siły. Czy wiesz co o takiej porze robiłam, kiedyś, gdy mieszkałam w Domu? Stałam na tym tarasie, patrząc w stronę ogrodowej furtki i drżałam. Czy on wróci? Mój piękny, młody, ciemnooki mąż, który przysiągł, że letnie noce swego życia będzie spędzał ze mną. Potem on wracał i nie zawsze bywał uśmiechnięty. Wtenczas drżałam znowu, że straciłam jego miłość. Że jego myśli i uczucia nie mieszkają już w Domu. Że zostały przy innej kobiecie, czy może przy jakiejś sprawie ważniejszej ode mnie i od Domu. Potem jedliśmy kolację we dwoje — o tam, za tym oknem, które wtedy czerwieniło się od blasków kominka. Na stole płonęły świece w wielkim mosiężnym świeczniku, potrawy nie zjawiały się za pociśnięciem guzika, tylko wnosiła je na miedzianej tacy Natalcia, stąpająca na palcach, smutna, bo jej własny młody mąż, który czekał w ogrodzie, nie miał Domu, gdzie mogliby sypiać „u siebie". Później czytaliśmy książki, co było powszechnym zwyczajem, albo rozmawialiśmy, co również — wśród małżeństw kontynentalnych — było w zwyczaju. Ale i czytanie, i rozmowa, i słuchanie muzyki, każde domowe zajęcie płynęło jak gdyby po powierzchni czarnego, burzliwego nurtu. Przerywaliśmy często, nasłuchując: czy któreś z dzieci, śpiących na górze, nie krzyknęło przez sen, czy nie zakaszlało? Baliśmy się do szaleństwa utracić nasze dzieci. Pies szczeknął, albo podniósł ucho... Wtedy nasłuchiwaliśmy, czy złodziej nie skrada się od strony warzywnika, czy nie wskakuje do piwnicy. „Drzwi od podwórka zamknięte na klucz?" — pytam męża. — „Założyłeś sztabę na drzwiach do garażu? Stamtąd jest przejście na schody". — „Czy biżuterię ciągle trzymasz w domu? — pytał mąż zmarszczony. — Proszę cię, odnieś ją do banku, bandytyzm okropnie się szerzy". Czasami wątek audycji muzycznej się przerywał. Wtedy martwieliśmy na sekundę: może mężczyźni z innych krajów przełamali właśnie granice naszego kraju i naszego nieba? Nieporozumienie wyjaśniało się niebawem. Jednak i wtedy nie zaznawaliśmy spokoju. W obawie przed burzą zrywaliśmy się i biegli zamykać okna, wyłączać elektryczność, sprawdzać, czy gaśnice są na swoich miejscach. Wreszcie — zmęczeni bardzo — szliśmy do sypialni. Nie myśl, że sny przynosiły ukojenie. Albo, że przynosiła je miłość! Jakżeż często śnił mi się pożar domu, od pioruna nie mniej okropny, niż od bomby. Śnili mi się ludzie niebezpieczni: ubodzy, bezradni ludzie, którzy, tak jak Natalcia, nigdy nie mieszkali „u siebie" i którzy z zazdrością patrzyli na nasz dom. Albo tacy, którzy czyhali na moje przedmioty. Albo ci, którzy chodzili po domu z oddechem pełnym bakcylów ziejąc w usta moich dzieci. Wreszcie... koszmar koszmarów: kobiety. Obce, w sukniach, o tyle piękniej leżących niż moje, z twarzami uśmiechniętymi o tyle wdzięczniej, słodziej, niż moja twarz, kobiety, które urodziły się w kilka lat po mnie i dlatego miały sprawić, że pewnego wieczora mój mąż nie wróciłby do domu. Budziłam się, on także jęczał we śnie, obejmowaliśmy się ramionami, przytulaliśmy wargi do warg i nasza miłość zdawała się szalona. Tak, ona była szalona: strachem i rozpaczą. —

Wanda zamilkła. Jej twarz, oblana księżycowym światłem, z oczami zamkniętymi, wyglądała jak zamknięta muszla. Słowik wciąż śpiewał, Priscilla poruszyła się.

— Jednak zachowałaś łyżkę i ręcznik — szepnęła. — Zrobiłaś to na pamiątkę tego Domu, gdzie bałaś się i rozpaczałaś.

Wanda przesunęła dłonią po czole, spojrzała na Dom.

— Tak — westchnęła — wyniosłam je kilkadziesiąt lat temu, o... stamtąd — wyciągnęła rękę. — Stołowy pokój był na lewo w głębi za tymi oszklonymi drzwiami. A nasz sypialny po prawej stronie, na górze. Bomby padały na sąsiednie domy, chwyciłam ręcznik z góry, łyżkę z dołu, i wyszłam. Okazuje się, że wyszłam na zawsze.

— Ale czy nie mówiłaś niedawno: „wydaje mi się, że byłam tu zawsze, w moim domu na górze?"

Wanda odwróciła głowę.

— Oczywiście. Powiedziałam tak... I to jest prawda. Nie mogłam nigdy zapomnieć, że gdzieś na ziemi stoi może ciągle mój Dom. Nigdy nie mogłam przestać się bać o ten dom i o wszystkich, którzy do niego kiedyś należeli. To było bardzo przykre... Ale z czasem moi ludzie zatracili się. Poumierali? żyją? — nie wiem. Kilkadziesiąt lat, najpierw totalnych mordów i przesiedleń, później Idealnych Komunikacyj i Globalnej Swobody zniszczyły porządek w księgach adresowych. Nawet adresów wiecznych nie odróżnia się dziś od doczesnych. Skoro zaś takie jest prawo, że każdy o każdej chwili znika by nie wrócić, nie ma powodu troskać się o nieobecnych. Przestałam też dawno troszczyć się o mego męża, który kiedyś taki był młody, piękny, ciemnooki... I o moje dzieci, które — jeśli żyją — nie troszczą się o swoje dzieci. Najmniej troszczę się o wnuki, których nigdy nie widziałam, które z pewnością nie znają słowa „babka". Jednak nie mogłam oduczyć się strachu całkowicie. Czułam, że jeśli zupełnie przestanę się bać, skamienieję, usnę na zawsze. Zachowałam więc łyżkę i ręcznik. Czasami w ciągu dnia niepokój mnie ogarnia, czy ich nie zgubiłam, w nocy budzę się i sięgam pod poduszkę, żeby sprawdzić, że są. Wtedy serce bije mi znowu mocno...

Priscilla wzruszyła ramionami. Zapatrzona w Dom, przerwała:

— Dlaczego wróciłaś tu i siedzisz naprzeciw twego Domu? Piorun może jeszcze zawsze w ten dach uderzyć. Czy chcesz, żeby serce biło ci jeszcze mocniej?

Wanda wstała z ławki. Jej twarz, szyja, tak gładkie mimo starości, pokryły się nagle zmarszczkami, jak zmącone wody. Na pewno Antoinetta Buddenbrook nie wyglądała inaczej, biegnąc się topić do rzeki.

— Ach, nie męcz mnie! — krzyknęła. — Zachowujesz się jak najgorszy złodziej z czasów przedglobalnych: chcesz ukraść tajemnicę!

Ale Priscilla nie była nerwową, przedglobalną dziewczyną. Miała naturę badawczą i fach ulubiony: objaśnianie tekstów. Rozmowa z Wandą mogła nie powtórzyć się nigdy. A także żadna inna ex-mieszkanka ex-Domu mogła nie postać nigdy na trasie przelotów Priscilli.

— Nie odchodź — przytrzymała za rękę istotę przedglobalną. — To co mówisz jest ważne nie tylko dla ciebie i dla mnie. Czy nie myślisz, że do tajemnic masz jeszcze mniejsze prawo, niż do własnych łyżek?

Wanda siadła z powrotem. Zmarszczki rozpierzchły się. Znów zamknęła oczy.

— Nie, nie myślę tak. Ale, owszem, pytaj. Tylko zrozum, że nie na wszystkie pytania można słowami odpowiedzieć. I nie wszystkie pytania nadają się do tego, żeby je wymawiać słowami. Więcej: bywają spojrzenia, na które w żadnych żywych oczach nie ma odpowiedzi.

— Lepiej mów po globalnemu! — zaprotestowała Priscilla. — Rozumiem, że jesteś zmęczona. Odpocznij sobie, zanim spytam o coś jeszcze. A tymczasem pozwól, że ja objaśnię ci **siebie**. Nie myśl... Nie myśl, że mój dobrobyt jest doskonały. Mnie, tak samo jak tobie, brak wielu rzeczy. To uczucie nieprzyjemne, którego często doznaję, jest prawdopodobnie zbliżone do tego, co klasycy nazywali **Sehnsucht, nostalgia,** czy może **cafard...** Nie wiem. Oczywiście to uczucie nie odnosi się do tzw. ojczyzny, bo ja z Anglii pamiętam tylko bardzo niewygodne, brudne schrony, po których oprócz dzieci, biegały także kolejki i szczury. Ani do żadnej osoby. Bo „Mummy" razem ze swoją walizką znikła tak dawno... A później nikt nigdy nie przebywał ze mną dłużej, niż przez okres jednego przelotu. A i to przelotne przebywanie nigdy nie miało cech, o których wspominałaś: tego wspólnego strachu przed złodziejami, tej wspólnej rozpaczy z powodu chorób i starości. Ale... Ach, Wando, globalny język istotnie nie jest łatwy! Ja także nie wiem, jak ci wytłumaczyć! — Poczekaj... Opowiem ci. Więc kiedyś... To było w Créssy. Wtenczas przechodziłam jeszcze okres szkolenia. Przy drodze do klubu, zauważyłam sobie jedno drzewko. Była wiosna. Ono ślicznie kwitło i bardzo ładnie pachniało. Przechodziłam koło niego sześć razy dziennie. Zawsze na nie patrzyłam. Później zrobiło się lato. Drzewko straciło kwiaty, za to miało ciemnozielone, bardzo przyjemne liście. Później była jesień i te liście zbladły. Potem nabrały koloru takiego jak bursztyn. Zimą drzewko było gołe i trzęsło się na wietrze, a niebo za nim wydawało się lodowate. A później musiałam odlecieć z Créssy, zanim drzewko zaczęło pączkować. Do Créssy wrócić bym mogła dopiero na starość. Wtedy tego znajomego drzewka albo jużby nie było, albo na jego miejscu rósłby gruby nieznajomy pień. To jedna rzecz...

Teraz druga: Pewien mężczyzna... (jeden z pierwszych, szósty, czy siódmy, nazywał się Marco), tak jakoś kładł rękę na moim kolanie, że mnie od razu robiło się strasznie przyjemnie. Przez siedem miesięcy sypialiśmy razem, pływali i latali razem. Nie zdarzyło się ani razu, żeby — gdy on dotknął mnie — całe moje ciało nie doznawało rozkoszy. Po siedmiu miesiącach nastał mój czas zmiany adresu i odleciałam z Budapesztu do Kopenhagi, a Marco miał za miesiąc lecieć do Chicago. Jak tylko przyleciałam do Danii, w pierwszym Eros-klubie poprosiłam pewnego mężczyznę (nazywał się Ralph), żeby położył rękę na moim kolanie. I nie odczułam nic. Później próbowałam ciągle, coraz to z kim innym, próbuję dotąd. Nikt nie ma takich rąk jak Marco. Ale Marca nie spotkam pewnie nigdy. Jeśli zaś spotkam, to rozstaniemy się znowu.

Trzecia rzecz: Od niektórych głosów ludzkich robi mi się mdło. Są inne głosy, które uderzają mnie, jak młotki—boli mnie od nich głowa, chociaż są uprzejme. I nie ma takiego miejsca w Republice Globu, gdziebym mogła wywiesić tabliczkę: wstęp dozwolony tylko tym głosom, które lubię.

Czwarta rzecz. Urodziłam troje dzieci. Nigdy ich oczywiście nie widziałam i nie wiem jakiej były płci. Dziwne... Może to pod wpływem klasycznej lektury, a może dlatego, że czasami wydaje mi się jeszcze w nocy, że „Mummy" patrzy na mnie... Jakbym okropnie chciała wiedzieć jakie są te dzieci, które urodziłam. Bawi się np. jakieś dziecko w parku — żółte, czarne, czasem białe — a ja nagle staję, jak wryta: „może to ja ciebie urodziłam?" I strasznie mi się chce to dziecko złapać i uciec i być z nim w takim miejscu, gdzie będą ręce Marca i będzie to drzewko z Créssy i... może srebrna łyżka? I gdzie nie będzie żadnych takich głosów, których ja nie lubię. Rozumiesz mnie? Co ty o tym sądzisz? Co należy zrobić, żeby mój dobrobyt był pełny?

Wanda milczała. Bardzo stary uśmiech leżał na jej gładkiej twarzy: uśmiech Ewy — najdawniejszej z ziemskich refugees.

— Co należy zrobić? — powtórzyła — zapomnieć! Zapomnieć o drzewku z Créssy, o rękach Marca, o nieprzyjemnych głosach i o tym, że rodziłaś dzieci. Jeżeli nie zapomnisz, nic na świecie nie zdoła poprawić twego „dobrobytu".

Priscilla żachnęła się.

— Ależ czy nie sądzisz, że **to** — wskazała palcem na Dom po drugiej stronie wąwozu, ociekający teraz księżycowym światłem, otoczony drzewami — że **to** byłoby dobre dla mnie?

Dłoń Wandy na ramieniu Priscilli zrobiła się ciężka.

— O, nie! Gdybyś zamieszkała tam, twoje życie przestałoby liczyć się na przeloty. Zaczęłoby liczyć się na urodzajne i nieurodzajne lata. Na szczęśliwe i nieszczęśliwe pologi. Na zdrady i powroty. Na godziny czekania — za długie i na godziny szczęścia — za krótkie. Twoje wiosenne drzewko — po latach — uczyniłoby las, jedna łyżka rozmnożyłaby się w tuziny łyżek, do czarów, płynących z rąk Marca, przybyłyby — dobre i złe — czary jego serca, przybyłby cały Marco. Twoje dzieci zaczęłyby od ciebie uciekać, jedne w śmierć, drugie w obojętność — chmury i samoloty nieprzyjaciół zawisłyby nad twoim dachem... Ach!

Wanda stanęła między Priscillą a domem, blada, wyprężona.

— Nie rób tego — złożyła dłonie — nie próbuj **mieszkać** w Domu. Jeśli tam zamieszkasz, zamieszka z tobą strach i rozpacz. O każdej porze dnia i nocy bać się będziesz: UTRATY.

Ale Priscilla nie była nerwową przedglobalną dziewczyną. Miała naturę badawczą i fach ulubiony: objaśnianie tekstów. Taka bliskość Domu mogła nie powtórzyć się więcej. A także żadna inna godzina ziemskich przelotów mogła nie być tak srebrna i tak tajemnicza.

—Nie przeszkadzaj mi — odsunęła istotę przedglobalną. — Wiem, że powiedziałaś mi o Domu nie wszystko. Powiedziałaś tylko o strachu i rozpaczy. Nie powiedziałaś nic o **dziękowaniu.** Ale ja doskonale pamiętam taką scenę: Mrs. Dalloway siedzi na kanapie, koło niej pełno srebra i takich różnych przedmiotów, których na pewno zazdrości jej służąca Lucy. Męża Mrs. Dalloway nie ma koło niej, bo zaprosiła go na lunch inna, młodsza kobieta. Córki nie ma, bo córka kocha obcą, brzydką Miss Milman, nie Mrs. Dalloway, swoją piękną matkę. Jednak Mrs. Dalloway siedzi na kanapie i dziękuje. Koło niej nic się nie dzieje, tylko meble stoją. A ona siedzi i mówi nie wiadomo do kogo: „Thank you, thank you, oh, thank you...". — Nie bój się, nie rozpaczaj, i nie dziękuj, jeśli nie masz siły. Ja chcę poznać strach, poznać rozpacz i chcę dziękować. Inaczej mój dobrobyt nie będzie nigdy pełny.

Słowik jeszcze śpiewał. Mniej melodyjnie niż na początku wieczora — bardziej władczo, jak gdyby w ciągu tych paru księżycowych godzin dojrzała jego miłość.

Priscilla weszła na groblę, prowadzącą do Domu, i zatrzymała się.

Przez chwilę było cicho. Potem żwir zaskrzypiał: Wanda schodziła ku grobli. Dogoniła Priscillę, nieśmiało dotknęła jej ręki.

— Nie będę ci przeszkadzać — rzekła — i mam jedną prośbę. Jeśli w Domu zamieszkasz, pozwól mi... pozwól ustawiać w pokojach bukiety.

Maria Kuncewiczowa

ADAM SZAFF

KS. PIWOWARCZYKOWI W ODPOWIEDZI

I

Konstatujemy ostatnio wyraźny wzrost zainteresowania marksizmem, szczególnie na naszej prawicy społecznej. Jeślibyśmy chcieli porównać ilość i jakość artykułów o marksizmie, ogłoszonych w ciągu ostatnich miesięcy na łamach prawicowej prasy, z odpowiednimi pozycjami przedwojennymi, to dodatnie saldo ostatniego okresu wyraźnie zilustruje tę zmianę pozycji, jakiej jesteśmy świadkami. Przed wojną linia taktyczna prawicy w stosunku do marksizmu szła w kierunku przemilczania. Nie mówiono o nim, nie pisano, starano się wmówić niewtajemniczonym, że jest on naukowo przebrzmiały. Dziś tą drogą iść nie sposób. I dlatego chórem, choć na rozmaite głosy, przemówiły o marksiźmie, materialiźmie itd. „Niedziela", „Rycerz Niepokalanej", „Tygodnik Powszechny", „Gazeta Ludowa" i inne. Role są podzielone, głosy też — wulgarne i poważne, napastliwe i silące się na obiektywizm. Cokolwiek bądź, świadczą one o tym, że pozycje marksizmu w Polsce znacznie się wzmocniły, **że nie sposób go dłużej przemilczać.**

Krzyżować szpady w dziedzinie ideologicznej jest rzeczą szlachetną i pożyteczną. I dlatego też z sympatią możemy powitać cykl artykułów ks. Piwowarczyka w „Tygodniku Powszechnym" o marksiźmie (nr 31 „Filozofia marksizmu", nr 32 „Teologia marksizmu", nr 34 „Etyka marksizmu"). Swym poważnym tonem i dążeniem do obiektywizmu, mimo wyraźnie antymarksistowskiego nastawienia, odbiegają one od wulgarnego charakteru napaści rozmaitych piśmideł, sięgających niewybrednie do fałszu, kalumnii i przekręceń. Tylko przyklasnąć możemy słowom końcowym artykułu ks. Piwowarczyka w 34 numerze „Tygodnika Powszechnego": „I na tym polega tragizm walki z marksizmem — pisze ks. Piwowarczyk — że ideę chciało się zastrzelić z rewolweru.. Niegodną człowieka jest każda walka z ideą przy pomocy gwałtu i policji...". Doprawdy, święte słowa. I lepiej, gdy przychodzą nawet późno, aniżeli nigdy.

Witamy artykuły ks. Piwowarczyka, jako zwiastuny nowego etapu walki ideologicznej. Ale bynajmniej się z nimi nie zgadzamy. Wyraził to już Żółkiewski w 51 nr „Odrodzenia" w swym „Głosie marksisty". Nie wydaje mi się szczęśliwe sprowadzenie sprawy do zagadnień semantyki i krytyki języka. Doceniając w pełni techniczny oręż semantyki w precyzowaniu ścisłości naszych wypowiedzi, doceniając wpływ języka na naszą myśl, musimy jednakże zastrzec się przeciwko takiemu rozumieniu sprawy, które mogłoby wyglądać na sprowadzenie zasadniczych zagadnień światopoglądowych do problemu języka. I raczej z tych pozycji światopoglądowych należałoby podjąć rękawicę, rzuconą przez ks. Piwowarczyka.

Ks. Piwowarczyk wziął się do sprawy z rozmachem. I dlatego też trudno będzie nadążyć za autorem, jeśli idzie o ilość poruszonych przezeń zagadnień oraz ilość mistyfikacji, których padł ofiarą. Tu należy się ze skruchą uderzyć w pierś. Jeśli takie mistyfikacje są ciągle jeszcze możliwe, to w pierwszym rzędzie jest to wina samych marksistów. Mamy ostatnio do czynienia z dość dziwacznym faktem, że więcej się pisze o marksizmie na prawicy, niż na lewicy, która wtedy dopiero się odzywa, gdy ją porządnie ukłują. I jeśli dziś ciągle jeszcze w naszej prasie i publikacjach tak mało się słyszy o marksizmie z pozytywnej strony, co jest najlepszą drogą likwidacji wszelkiego rodzaju ideologicznych qui pro quo, to nie jest to winą ks. Piwowarczyka, ale raczej naszej lewicy. Do tego powrócimy na końcu artykułu.

CZY WIEMY CO TO JEST MARKSIZM?

Któż jest winien jeśli ks. Piwowarczyk na wstępie do pierwszego artykułu (nr 31 „Tygodnik Powszechny") musi ze smutkiem stwierdzić, że trudno powiedzieć, co to jest marksizm? Winę ponoszą tu niezawodnie nasi marksiści, którzy nie potrafili dotąd wyłożyć swej doktryny tak jasno, by tego rodzaju wątpliwości nie mogły powstać. Ks. Piwowarczyk wie od Engelsa, że podstawą marksizmu jest materializm historyczny i teoria wartości dodatkowej. Okazuje się więc, że mimo naszych błędów, coś nie coś zdołał się jednak dowiedzieć na podstawie własnych studiów. Ks. Piwowarczyka straszy jednak fakt, że wśród zwolenników Marksa istnieją różne kierunki i że wobec tego niewiadomo, który marksizm jest „autentyczny". To jest zresztą argument nie nowy (w ogóle należy stwierdzić, że tak mało nowego wnosza do swej argumentacji przeciwnicy marksizmu, że wprost odczuwa się niekiedy nudę). A ponieważ, jak powiadają, consuetudo altera natura est, ks. Piwowarczyk sięga do historii kościoła i podaje nam swoistą interpretację. Okazuje się, że nauka Marksa, jest „objawieniem", po którym przychodzi okres „ewangelistów", herezyj, ojców, doktorów, soborów i synodów. O inkwizycji wprawdzie autor dyskretnie milczy, ale każe się jej domyślać między wierszami (patrz, złośliwa uwaga o Bucharinie i Niedziałkowskim).

Ponieważ tego rodzaju wątpliwości nurtują nie jednego tylko ks. Piwowarczyka, postarajmy się zająć bliżej tym zagadnieniem.

Otóż, marksizm nie jest „objawieniem" i nie ubiega się o pozycję dogmatu. Engels, mówiąc o systemie swoim i wielkiego swego przyjaciela, niejednokrotnie powtarzał: „naszą nauka nie jest dogmatem, ale tylko drogowskazem dla działania". Lubił to zdanie powtarzać Lenin. W ślad za nim i Stalin wyraźnie odróżnia marksizm dogmatyczny, jałowy, od żywego, twórczego. Klasycy marksizmu niezwykle ostro walczyli przeciwko wszelkim próbom doprowadzenia ich nauki do skostnienia. I to stanowi właśnie główną siłę marksizmu. Marksizm jest całkowitym systemem, pełnym światopoglądem, który uogólnia prawa rozwoju przyrody, społeczeństwa i myśli ludzkiej. Ale należy się od razu zastrzec, że pojęcie „systemu" w marksizmie nie ma nic wspólnego z zastygłym pojęciem systemu filozofii spekulacyjnej. U podstaw marksizmu leży jego dialektyczna metoda. I aczkolwiek nieprawdą jest, że marksizm jest **tylko** metodą, ponieważ jest on pełnym światopoglądem, to stwierdzić należy, że jego metoda odgrywa w systemie rolę decydującą. Jej istota polega na uchwyceniu dynamicznego charakteru rzeczywistości i specyfiki prawidłowej tej dynamiki. Podstawowa zasada tej metody, że wszystko znajduje się w ciągłym ruchu i zmianie, uniemożliwia uznanie absolutności systemu. Tu tkwi zasadniczy problem stosunku relatywnego do absolutnego, do czego jeszcze wrócimy. Jeśli jednak wszystko się zmienia i rozwija, to zmieniać się musi i rozwijać również i system teoretyczny, który jest odbiciem rzeczywistości. I dlatego nie ma w marksiźmie nic zastygłego i absolutnego w sensie niezmienności, (aczkolwiek marksizm jest przeciwieństwem absolutnego relatywizmu). I dlatego marksizm nie może być „objawieniem", ani „Ewangelią". Z takim ujęciem sprzeczny jest w swym założeniu. I to należy sobie dokładnie zapamiętać, prosze ksiedza, aczkolwiek przyznaję, że wina za mistyfikacje w poważnym stopniu na nasze spada głowy. Należało o tym wcześniej mówić.

Ale stąd wypływają brzemienne wnioski. Jeśli bowiem nauka nie jest „objawieniem", to nie ma sensu mówić o „herezjach". Po prostu mamy fakt rozwoju doktryny wraz z życiem, ze społeczeństwem i jego wiedzą. Marks nie miał zamiaru powiedzieć za nas wszystkiego, abyśmy mogli spokojnie spocząć na laurach. Na odwrót, wpajał w swych zwolenników przekonanie, że naukę jego należy konsekwentnie rozwijać, dostosowywać do nowych warunków. I na tym polega **twórczy** charakter marksizmu. Na tym polega jego **siła.** Właśnie na tym, że nie kostnieje, że nie staje na miejscu, że się ciągle bez przerwy rozwija. Dlatego właśnie jest prawdziwy, bo jako proces stawania się i rozwoju nauki, może oddać proces stawiania się i rozwoju rzeczywistości. A dlatego, że jest prawdziwy, jest wszechmocny.

Droga poznania nie jest bitym traktem, ale krętymi zygzakami prowadzi naprzód ku prawdzie. Nie można wymagać od doktryny, która znajduje się w ciągłym nieustannym ruchu i rozwoju, która daje ciągle nowe poznania, by płodziła tylko prawdę, by na drodze poszukiwań nie popełniano błędów. Błąd jednych warunkuje często znalezienie prawdy przez innych. I dlatego też nie dziwota, że wśród uczniów Marksa i jego zwolenników byli ludzie, którzy błądzili, którzy schodzili z wytkniętej przezeń metodycznie drogi. To nie były „herezje", ale po prostu błędne drogi, które warunkowały dalszy nieprzerwany rozwój marksizmu. A gdy ktoś z sarkazmem powie, że nie sposób jednak rozeznać się w tym, kto jest „prawowiernym" marksistą, ponieważ wszyscy uważają się za takich, to pozostaje nam tylko odpowiedzieć słowami Plechanowa, który pół wieku temu musiał się już rozprawiać z podobnym argumentem:

„Być może dałbym przez to (przez polemikę z Labriolą A. S.) — pisze Plechanow w 1897 r. w swej pracy „O materialistycznym pojmowaniu dziejów" — naszym subiektywnym staruszkom (idzie tu o narodnika Michajłowskiego A. S.) okazję do tego, by jeszcze raz zadrwili, że wśród zwolenników materialistycznego pojmowania dziejów trudno odróżnić „prawdziwych" od „nieprawdziwych". Odpowiedziałbym jednak owym subiektywnym staruszkom, że „śmieją się z siebie samych". Człowiek, który sam dobrze zrozumiał sens systemu filozoficznego, łatwo potrafi odróżnić prawdziwych jego zwolenników od fałszywych. Gdyby np. subiektywiści zadali sobie trud przemyślenia materialistycznego pojmowania dziejów, widzieliby sami, gdzie są prawdziwi „uczniowie", gdzie zaś samozwańcy, którzy bezprawnie przywłaszczyli sobie wielkie imię. Ponieważ jednak nie zadali ani też nie zadadzą sobie trudu, pozostaje im siłą rzeczy jedynie niezrozumienie. Jest to wspólny los wszystkich zacofańców, którzy opuścili szeregi czynnej armii postępu".

Rzecz charakterystyczną dla historii krytyki marksizmu, że po 50 latach można oburącz podpisać się pod tymi słowami.

CZY MATERIALIZM WYTRZYMUJE KRYTYKĘ?

Należy przyznać, że ks. Piwowarczyk w wielu punktach dobrze rozumie marksizm. Dowodem tego jest fakt, że zaczyna analizę marksizmu od jego podstaw światopoglądowych, że widzi znaczenie i oryginalność tego światopoglądu, który nieźle zresztą referuje. Ma się po prostu wrażenie, że autor wysila się miejscami na zarzuty. Musimy też lojalnie przyznać, że pozycja jego bynajmniej nie jest łatwa.

Ks. Piwowarczyk trafia w sedno, gdy wysuwa problem psychofizyczny jako podstawowe zagadnienie filozoficzne. „Stajemy wobec nieśmiertelnego problemu ludzkości: duch i materia" — pisze autor. Jak wiadomo, Engels w swej klasycznej definicji materializmu i idealizmu to właśnie zagadnienie stosunku materii do ducha przyjął jako kryterium podziału filozofów na dwa obozy. Wiadomo również, że jeśli marksiści to właśnie zagadnienie uważają za decydujące, to przeciwnicy marksizmu starają się je ominąć. Bo też stwarza ono ogromnie niewygodną sytuację. Jak mówili starożytni: „hic Rhodus hic salta". Trzeba przyjąć bój, i albo wygrać, albo przegrać. Naturalnie, dla tych, którym grozi przegrana, perspektywa arcyniemiła. Wyobraźmy sobie sytuację ks. Piwowarczyka, postanowionego przed takim aut-aut. Przyjąć materializm, tzn. przyjąć koncepcję pierwotności materii, której funkcją na wysokim stopniu jej rozwoju jest duch. Byłoby to równoznaczne z zaprzeczeniem religii i jej dogmatu i naturalnie dla osoby duchownej takie rozwiązanie odpada. Przyjąć idealizm, tzn. przyjąć koncepcję pierwotności ducha, który **tworzy** w ten czy inny sposób materię. Perspektywa równie niemiła. Koncepcji tej bronić można bowiem tylko wówczas, gdy przyjmiemy kryterium wiary. A to znaczy pożegnać się z nauką, czego ks. Piwowarczyk nie chce. Stanąć na stanowisku nauki znaczy, natomiast, wystawić się na unicestwiający argument materialistów.

że był taki moment w historii naszej kuli ziemskiej, gdy istniała ona w formie rozrzedzonych gazów, co uniemożliwiało, dzięki wysokiej temperaturze, jakiekolwiek życie, a więc i istnienie ducha. W obliczu tego zabójczego argumentu można bądź to uciec w sferę wiary, bądź poddać się materialistom. Ksiądz Piwowarczyk nie chce uciec w dziedzinę wiary, dla inteligencji jest to nienajlepszy argument. Ksiądz Piwowarczyk stwierdza: „Wszyscy rozsądni ludzie wiedzą o zależności ducha od materii; codzienne doświadczenie przekonuje ich o tym". Ale naturalnie, nie chce materializmu. Gdzie wyjście?

Wyjście jest, stare wypróbowane wyjście wszystkich elektyków w filozofii. To, co było silne w filozofii na przestrzeni jej dziejów, jest związane z monizmem materialistycznym lub idealistycznym. Ks. Piwowarczyk wie doskonale, że wielcy idealiści od Platona, poprzez ojców kościoła, stojących na stanowisku średniowiecznego realizmu, do klasyków idealizmu niemieckiego — byli monistami. Ks. Piwowarczyk powinien wiedzieć że konsekwentny spirytualizm jest również monistyczny, a wszelki system religijny jest konsekwentnym spirytualizmem (nieprawdą jest jakoby spirytualizm, lub realizm były identyczne z dualizmem). I jeśli ks. Piwowarczyk ucieka przed tą konsekwencją, to tylko dlatego, że boi się doprowadzenia swego stanowiska do solipsyzmu (czego nie da się uniknąć), lub przytoczonego wyżej argumentu o mgławicowych początkach naszego świata.

A więc dualizm. „Zarówno duch, jak i materia są rzeczywistymi bytami" — mówi autor (Tyg. Powsz. nr 31). Ale ten wybieg nie ratuje przed alternatywą: materializm lub wiara. Wplątuje tylko autora w większe sprzeczności. Wyłania się i tu bowiem problem psychofizyczny, który ma rozwiązać teoria paralelizmu duchowego. Ale jak? W jaki sposób biegną równolegle dwa nurty — materialny i duchowy — ściśle sobie odpowiadając? Czy to będzie absolutny paralelizm, czy też szczególnego rodzaju interakcjonizm, wyjście jest tylko jedno — słynna „harmonia praestabilita" Leibniza. A to jest, niestety, znowu tylko wiara.

Ks. Piwowarczyk czuje słabość swoich pozycji dualistycznych (niezależnie od tego, że imputowanie spirytualizmowi i realizmowi stanowiska dualizmu jest żonglerstwem). I dlatego też uderza w materializm z innej strony.

Jest wypróbowanym, aczkolwiek nieuczciwym, chwytem w polemice, tzw. argumentum ad personam. Polega on na tym, że zamiast bronić własnych pozycji (co nieraz jest trudne), uderza się w przeciwnika, starając się przerzucić nań ciężar dowodu. Nie ulega wątpliwości, że trudność wszelkiego monizmu polega na wytłumaczeniu z jednej zasady wszystkich momentów. Piętą achillesową idealizmu jest też niemożność wytłumaczenia genezy ducha z rozwoju materii.

Trudnym miejscem monizmu materialistycznego jest wytłumaczenie genezy ducha rozwojem materii. W to miejsce uderza też ks. Piwowarczyk. I to mu wolno. Ale nie wolno autorowi, po trafnym wykazaniu, że marksizm nie sprowadza się do wulgarnego materializmu, że uznaje istnienie i rolę ducha, aczkolwiek widzi w nim funkcję wysoko zorganizowanej materii, uciec się do wątpliwego autorytetu p. Staronki, by argumentować niemożliwość naukowego udowodnienia, że „istnieje tylko materia". To jest chwyt nieuczciwy, który zresztą nie prowadzi do celu.

Marks nie uważał swej koncepcji za ideał i powiadają, że zwykł był mawiać, iż jeśli mu dadzą lepszą teorię, gotów jest porzucić swoją. Siła marksizmu polega nie na tym, że jest to teoria idealna ale na tym, że jest to teoria najlepiej spośród istniejących odzwierciadlająca rzeczywistość i jej prawidłowości. Da się to znakomicie w pełni również do filozofii marksizmu — materializmu dialektycznego. Wprawdzie, jak długo nie potrafimy sztucznie tworzyć życia (a tymczasem tego nie potrafimy, chociaż nauka już jest na tropie), problem psychofizyczny będzie nosił cechy zagadkowości. Ale możemy stwierdzić, że materialistyczne tłumaczenie jest najlepsze z istniejących. Naukowa obserwacja wykazuje nam, że duch nie występuje bez materii i że jest związany z wysoko zorganizowaną formą istnienia materii (związek życia z białkiem, myśli z czynnością mózgu). Stąd uogólnienie, że duch jest funkcją wysoko zorganizowanej materii. Znaczy to, że materializm dialektyczny uznaje obiektywny charakter życia duchowego i specyfikę jego prawidłowości, przeczac jednocześnie samoistnemu, substancjalnemu jego bytowi (co robi religia, a za nią konsekwentny idealizm).

Stanowisko idealizmu oznacza zaplątanie się w nierozwiązalne sprzeczności w problemie psychofizycznym, jeśli nie uciec się do pomocy wiary, religii, rezygnując tym samym z nauki (na to, proszę księdza, nie ma rady). Stanowisko materializmu dialektycznego daje podstawę dla racjonalnego rozwiązania tego problemu. I dlatego, mimo iż ks. Piwowarczyka nie pociąga takie rozwiązanie „zagadki" człowieka, że jest on tylko fragmentem materii, to rozwiązanie, tzn. właśnie materializm dialektyczny, jest jedynym, jakie może przyjąć konsekwentna nauka.

(część druga w następnym numerze)

Adam Szaff

MIECZYSŁAW JASTRUN

O PRACY PISARZA

Owoce pracy pisarza bywają niekiedy słodkie, ale praca, którą podejmuje poeta, autor powieści, dramaturg nie jest ani łatwa ani słodka. Wiele o tym i z nierówną trafnością pisano, ale nie tyle, by przypomnienie tej sprawy nie mogło być pożyteczne.

Różnie, z niejednakowym wysiłkiem kształtują swoje widzenia pisarze; znamy autorów, którzy są w większym lub mniejszym stopniu dziećmi szczęścia, i autorów - męczenników własnej sztuki, poddających się z wyrzeczeniem i samozaparciem dobrowolnej torturze doskonałości.

Cokolwiek byśmy powiedzieli, niezależnie od takiej czy innej organizacji twórczej, jedno jest pewne: artysta, by dokonać dzieła, musi pracować z wytężeniem wszystkich władz swoich, musi wprząc w służbę sztuki całego siebie. Biada tym, którzy chcieliby oddać jej połowę serca.

Czymże było życie Balzaka, jeśli nie życiem lunatyka? I ta sprzeczność między wielkim realizmem wykonania a widmowością wizji, która wysysała wszystkie siły Balzaka - człowieka daje blask nieprzemijający jego dziełu.

Flaubert z maniackim — dla niewtajemniczonego — uporem tropił odległe powtórzenia wyrazów, poeci francuscy ostatniego okresu uprawiali subtelną i trudną grę intelektu.

Poeci świata łacińskiego, kultury klasycznej, nawet w naszych czasach, niedaleko odeszli od surowości wobec swego rzemiosła, dyscypliny, którą do wyżyn moralnych podniósł Horacy, której poddawał się Racine, La Fontaine, Mickiewicz i Puszkin.

Artysta w pracy swojej podobny jest do alchemika i matematyka zarazem, a nadto musi być obdarzony niewinną cierpliwością dzieci i zwierząt drapieżnych.

Żywoty artystów polskich, książki, których jeszcze nie napisano, bo aby napisać je w całej prawdzie, bez ocukrowania, właściwego historykom sztuki i literatury i bez owej ciągłej, poczciwej a jakże niemoralnej troski o pokrzepienie dusz, niemałej trzeba odwagi, byłyby książkami o naszej niedoli i niewdzięczności, która zbyt często bywa siostrą nieszczęścia.

Czy przypominać trzeba Gierymskiego, jego walkę trudną i beznadziejną, albo Norwida, którego twórczość skrzywiła i zdruzgotała krytyka nie umiejąca wyjść poza granice powiatu. Niedarmo drwił Norwid bezlitośnie z autorów — „ledwo że tchną, wnet arcydzieło wstawa" i przeciwstawiał ich igraszkom, dającym „dwadzieścia lat sławy za jeden dzień szczęśliwy" trud Wergiliusza:

On dwadzieścia lat pracy dał za dzień,
Za jeden dzień stworzenia.

Dziś jeszcze z przejęciem czyta się skargę Słowackiego, w której słyszymy głos całej sztuki polskiej: „Cóżkolwiek bądź, sumienie mi powiada, że przez osiem lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest choroba uwielbienia, epidemiczną chorobą oziębłość... Przez osiem lat każda chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście...".

W tych słowach nie ma przesady. Aby cośkolwiek w sztuce osiągnąć, trzeba się wyrzec „osobistego starania o szczęście", trzeba niejeden raz iść przeciw niemu.

Zatonęły gdzieś w przepaściach czasu wieści o życiu niektórych wielkich pisarzy, to, co o nich wiemy, wiemy tylko z ich dzieła. Ale ciekawość nasza, choć zrozumiała, jest właściwie bezprzedmiotowa. Jakież mogło być życie Szekspira, jeśli rozdzielił je między postacie swoich dramatów tak obficie, że każda z nich godna jest monografii?

Życie pierwszego lepszego przechodnia, ograniczonego przestrzenią i czasem mieszkańca tej czy innej epoki na pewno ciekawsze jest od losów artysty, usuniętego w cień przez jego własną sztukę. Wielu z nas, zamiast poznać do głębi dzieło artysty, bada jego życiorys, jak gdyby mógł on być bogatszy od dzieła.

Kiedy czytamy popularne vies romancées takich pisarzy jak Byron lub Shelley, nie wiemy czemu się bardziej dziwić: ubóstwu życia w stosunku do dzieła, czy nieporadności autora biograficznych powieści. Jesteśmy niesprawiedliwi. Te rzeczy są z góry skazane na niepełność. Żaden najlepiej napisany romans biograficzny nie powie nam tyle o Leonardzie da Vincim, ile jedno spojrzenie na twarz jego świętej Anny.

W przesadzie, w sztucznym i nieprzyjemnym przepychu kapłaństwa, który przydawali sobie czasem wielcy uzurpatorzy dusz ludzkich w okresie romantyzmu, w nadmiarze gestu zewnętrznego u symbolistów — jest cząstka rzeczywistej konieczności, źle tylko w tym wypadku użytej.

Postępowali podobnie do czytelnika, który zachwyt dla dzieła swego poety rozszerza na jego życie, ciekawość tajemnicy tworzenia przerzuca na życiorys. Tak i oni, którym nie wystarczała sugestia dzieła, chcieli własne życie, często ułomne i kruche, jeszcze przed śmiercią fizyczną zamienić w „poemat dla Boga".

Tymczasem drogi ich życia znaczone były kłeksami atramentu, męczącymi, ciągle chodzącymi im po głowie poprawkami, „odmianami tekstu" (spójrzcie na rękopisy Mickiewicza lub Słowackiego!). Narzędziem ich była nie „lutnia", lecz skrzypiące pióro gęsie. Każdy pisarz (z wyjątkiem natchnionych grafomanów, którym wszystko idzie jak z płatka) wie, co znaczą te odmiany tekstu i warianty, umieszczane w przypisach do dzieł klasyków. Nie byli oni kiedyś klasykami, lecz żyli, byli ludźmi. Podlegali tysiącom udręczeń i niepokojów, gdy strofa „nie grała", jak mówi pewien mój przyjaciel, skreślali, przerabiali wielokrotnie, by „odpowiednie dać rzeczy słowo". To słowo trzeba wydrzeć z mózgu, przenieść je na koniec pióra i drżeć o to, by nie uronić blasku, towarzyszącego pierwszej, nagle zjawionej, myśli poetyckiej.

Ale nie dość na tym, bo często owa piękna myśl okaże się, nie zaraz, po godzinie, a czasem po tygodniu, czasem po miesiącu fałszywą pięknością, którą trzeba odrzucić — i szukać innej, prawdziwej. Bywa także tak, że druk oberwie „tęczę" z myśli — pisał o tym Słowacki — i praca wielu godzin okaże się lichą fuszerką. Wybitna pisarka polska, która musi sześć stronic zapisać, by ocalić z nich jedną, jest przykładem zarówno czujności twórczej jak i tej udręki, bez której nie urodzi się rzecz piękna.

Tuwim pisał kiedyś o torturze tłumacza wierszy, Heine swoje lekkie, przeźroczyste prawie, strofy wielekroć poprawiał i przerabiał, niemniej zapewne niż Horacy.

Jakich obszarów niezamąconego inną troską czasu trzeba pisarzowi już nie tylko dla wielkiego rozmiarami dzieła, ale nawet dla kilku drobnych wierszy lirycznych, które by go przetrwały?

Wiemy, że Balzak życie swoje na wiele miesięcy zawieszał na kółku, drzwi zamykał przed wierzycielami, i w dzień paląc lampę przy zasłoniętych oknach pisał swoją „Komedię ludzką".

A jak musiał pracować Szekspir? Jak Tołstoj, którego niezliczone stronice przepisywała z podziwu godnym poświęceniem żona? Dla mnie największą zagadką jest, kiedy i jak zdążył napisać swoje poematy, tragedie, wiersze i wspaniałe listy wątły i chory, w czterdziestym roku życia zmarły, Słowacki? Samo tylko przepisanie jego dzieł, i to pismem tak starannym, jak je widzimy w pozostałych po poecie rękopisach, wymagałoby ogromnego wysiłku. Mówi się, że Słowacki miał łatwość pisania, on sam chełpił się płynnością i gwałtownością swego pióra, tak, ale odmiany tekstu mówią nielitościwa prawdę o torturze twórczej, której i on podlegał.

Żartobliwie mówił o swojej pracy pisarskiej w „Podróży na Wschód":

Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś na kształt płomyka
Poetycznego; stąd mię częściej wita
Poetą ten, co widzi, niż — co czyta.

Valéry dla swoich nielicznych próz i wierszy nie liczył się z czasem, Heredia przez całe swe życie napisał sto sonetów, nasz Sęp Szarzyński zostawił kilka sonetów, które mu zapewniają nieśmiertelność w literaturze i mają większą wagę niż wielotomowa spuścizna mniej szczęśliwych, czy też mniej rozsądnie pracowitych?

W naszej ojczyźnie, która umie tak wspaniałe pogrzeby urządzać poetom, zwłaszcza w sto lat po ich śmierci, kult poezji i w ogóle słowa pięknego osłabł dzisiaj tak znacznie, że skargi dawnych pisarzy na obojętność czytelników wydają się przesadne. Zwłaszcza inteligencja dzisiejsza, która podlega coraz szybszemu procesowi rozkładu i zatraca poczucie tradycji kulturalnej, dziwnie zobojętniała na sztukę. Robotnicy i chłopi wydają się mieć o wiele większą wrażliwość na słowo pisane czy mówione i o wiele uczciwszy stosunek do pewnej konkretnej prawdy, wyrażonej w utworze, niż potomkowie dawnych odbiorców literatury, którzy kiedyś dumni byli, że ktoś w Polsce „jak perłami pisze".

Jaskrawym przykładem niezrozumienia zasad i celów literatury jest ciągłe mieszanie jej z publicystyką i dziennikarstwem. Jeśli dążymy do uspołecznienia pisarza, do związania go z historią, to nie po to, aby pisywał propagandowe wierszyki i programowe powieści. Jeśli pragniemy, aby pisarz przez zdobycie światopoglądu najbardziej nowoczesnego i postępowego wyszedł ze środowiska mętnych mitów i zabobonów swej klasy społecznej, to nie po to, aby posiadłszy wiedzę nowego życia i zrozumiawszy dialektykę historii, koniecznie wyrzekł się sztuki pisarskiej na rzecz doraźnej działalności, często obcej jego strukturze psychicznej.

Zadaniem pisarza jest tworzenie wartości kulturalnych o dłuższym dystansie. Artysta tworzy z materiału trwalszego niż dziennikarz, urzędnik propagandy, agitator, działacz polityczny. Nie umniejszając w niczym wielkiego znaczenia ich jakże często ofiarnej pracy, należy w imię obiektywizmu stwierdzić, że pomieszanie pojęć w tej dziedzinie może wyrządzić poważne szkody sprawie kultury narodowej.

Pisarz-humanista musi mieć kontakt z żywą współczesnością, ale to obcowanie odbywa się niekoniecznie w sferze działania agitatora, opiekuna świetlicy robotniczej czy wykładowcy.

Nie wolno również zapominać, że niejednokrotnie dla skrystalizowania pomysłów twórczych artysta nie może uniknąć samotności. To nic, jeśli produktem tej krystalizacji będzie utwór chwilowo „nieprzydatny".

Nasuwa się tu porównanie z zakresu nauk ścisłych. Zwróciła już na to uwagę Zofia Nałkowska. Nikt nie kwestionuje ze społecznego punktu widzenia wagi czysto teoretycznych osiągnięć naukowych dla późniejszego zazwyczaj wykorzystania ich w dziedzinach praktycznej użyteczności, chociaż teorie naukowe nawet najbardziej doniosłe, w momencie ich powstawania dalekie są od jakiejkolwiek zastosowalności. Zrozumiała to Rosja Sowiecka, gdzie mimo nastawienia na szybkie praktyczne wyniki, daje się wszelkie warunki uczonym dla teoretycznych dociekań. Te same metody wyszłyby na dobre również literaturze.

To nie znaczy, żebyśmy mieli popierać obce naszej współczesności idee artystyczne, zamierzchłe, nie leżące na drodze, która w danym układzie społeczno-historycznym jest drogą postępu. Artysta czy uczony, który dzisiaj poszukuje kamienia filozoficznego, znalezionego w innej epoce, nie osiągnie prawdziwych wyników. Rację miał Goethe, gdy szydził z „ducha czasu" wymyślonego przez pedantów i profesorów, ale on sam był pisarzem, który czuł jak mało kto współczesność. Żeby wskazać na czas najbliższy, nie od rzeczy będzie przypomnieć analogię między dążeniami dzisiejszych pisarzy polskich, a tendencjami literatury francuskiej. Gdy rozerwany został oddzielający nas pierścień lat wojny, podobieństwa te ukazały się w świetle szczególnie jasnym.

To jest właśnie, rodzący się w różnych miejscach jednocześnie i niezależnie od siebie, duch czasu. Uczmy się odróżniać w jego chórze głosy prawdziwe. Praca pisarza nie może być ani pomijana, ani przeszczepiana na inne dziedziny. Działacze polityczni są często podobni do tych, którzy w szlachetnym zapale wylewają wraz z wodą — dziecko. Nie każdy z nich ma głębokie zrozumienie literatury. Często tracą cele dalekosiężne dla bliższych, nie mają cierpliwości, której wymagają „pieśni", co jak wiadomo „długo rosną".

Spór między człowiekiem bezpośredniego czynu, energumenem a człowiekiem, którego żywiołem jest myśl, marzenie i piękno, trwa nie od dzisiaj. W naszej historii odnawia się z każdym pokoleniem. Mickiewicz rozstrzygnął go na niekorzyść poezji pisanej. Ale była to sprawa wyjątkowa, niepowtarzalna i w szczególnych warunkach urodzona.

Żaden kraj nie zawdzięcza literaturze tyle co Polska, ale nigdzie chyba z takim uporem nie walczono z literaturą w imię — czynu, zamiast dążyć do jej podniesienia i zdynamizowania. Norwid, zawsze czujny, streścił tę walkę, określoną niewątpliwie warunkami historycznymi, a niemniej szkodliwą dla kultury naszej, w lapidarnym wierszu: „Język ojczysty":

„Gromem bądźmy wpierw niźli grzmotem.
Oto tętnią i rżą konie stepowe.
Górą czyny!... A słowa? A myśli?... Potem!
Wróg pokalał już i ojców mowę —
Energumen tak krzyczał do lirnika
I uderzał w tarcz, aż się wygięła.

Lirnik na to:

„Nie miecz, nie tarcz bronią języka,
Lecz — arcydzieła!"

Łatwo nas zastrzelić pytaniem: „A gdzie są wasze arcydzieła?"

Odpowiedź: arcydzieła nie rodzą się z dnia na dzień. Policzcie wielkie dzieła, ile ich jest na przestrzeni kilku wieków naszej literatury. Przyśpieszyć narodziny arcydzieł można ogólnym podniesieniem poziomu kulturalnego. Literatura nasza zawsze oscylowała między błyskami niezwykłymi a zbyt powszechną szarością. Brak jej było większej ilości dobrych, z pełną znajomością rzemiosła napisanych utworów.

To jest stan nienormalny. Zagadnienie w stopniu wyższym, niżby się na pozór zdawać mogło, zależne jest od intensywności pracy, kształtującej dzieło i czasu w nie włożonego.

Pozwólmy pisarzom pracować w zakresie ich sztuki.

IGNACY WITZ

O GOYI

Warunki życia w Hiszpanii XVIII-to i XIX-to wiecznej, w kraju olbrzymich dysproporcji społecznych, w kraju o zacofanym feodalnym ustroju siłą rzeczy musiały kierować wysiłki światlejszych umysłów w kierunku protestu, protestu w myślach, protestu w twórczości.

Jak carska Rosja podobna w swej strukturze społeczno-politycznej do Hiszpanii wydaje ze swego łona szereg pisarzy walczących o zmianę tego porządku, tak i Hiszpania rodzi silne indywidualności twórcze, poszukiwaczy realnej prawdy.

Żarliwość poszukiwania prawdy u Hiszpanów przerodziła się jakoby w jedną z ich cech narodowych. Poszukują oni prawdy takiej, jak ich kraj, gdzie żarliwe słońce prześwietla wszystko, nagiej, nie przysłoniętej niczym, prawdy popędów, wyzwalających się w walce byków, prawdy równie bezwzględnej jak inkwizycja, prawdy choćby graniczącej z wiatrakami cervantesowskiego „Don Kichota", prawdy bohaterów Calderona, portretów z „Pogrzebu Hrabiego Orgaza" Tcheocopuli El Greco, karłów Velasqueza i postaci Don Franciska Jose Goyi y Lucientes.

Te poszukiwania rysują linię twórczości hiszpańskiej. Żyją one i dziś jeszcze w sentymentalnych serenadach pieśni ludowej, w twórczości współczesnych artystów, u Pablo Picassa, u zapomnianych już malarzy surrealistów, żyją w wierszach wyklętego przez generała Franco, poety Federico Garcia Lorca, syna grenadzkiej równiny. Czy w wierszach jego nie odnajdujemy identycznej atmosfery, jaka owiewa rysunki Goyi?

„Za sędzią suną żandarmi,
Naprzestrzał przez cień oliwny.
Krwi krople sączące się z rany
Żmijową przyśpiewką płyną.
— Senneres żandarmi — nic to —
Zwykłych przygód bywa bez liku.
Czterech Rzymian zabito
I pięciu Kartagińczyków".

(Garcia Lorca, Potyczka)
Romancero Gitano
tłum. L. Kaltenbergha.

Hiszpanie są żarliwi w swej twórczości, ale najżarliwszym z nich był Goya. Żarliwym do obłędu, żarliwym do pustki i nicości, żarliwym w sztuce, w nienawiści, w rewolucjonizmie, w niesłychanej, ostrej obserwacji, w ekstazie pięcia się do tego co jeszcze jest niezrozumiałe a co zrozumiałym stać się musi.

Taki jest Goya.

Gdy dzisiaj zwyczajem jakiegoś systemu chcemy Goyę zaszufladkować, gdy chcemy objąć go ramami jakiegokolwiek określenia, ścisłego umiejscowienia, gdy wymawiamy „Rococo", „Romantyzm", dziś nie znaczy to nic. Dziś Goya powrócił, dziś Goya znowu jest żywy. Powrót jego stał się znów aktualny, a rozpoczął się ten ostatni z powrotów w lipcu 1936 roku, w dzień kiedy lud hiszpański porwał za broń w obronie swej wolności z imieniem rewolucji na ustach, tak jak wówczas w 1808, pamiętnym dla Hiszpanii roku.

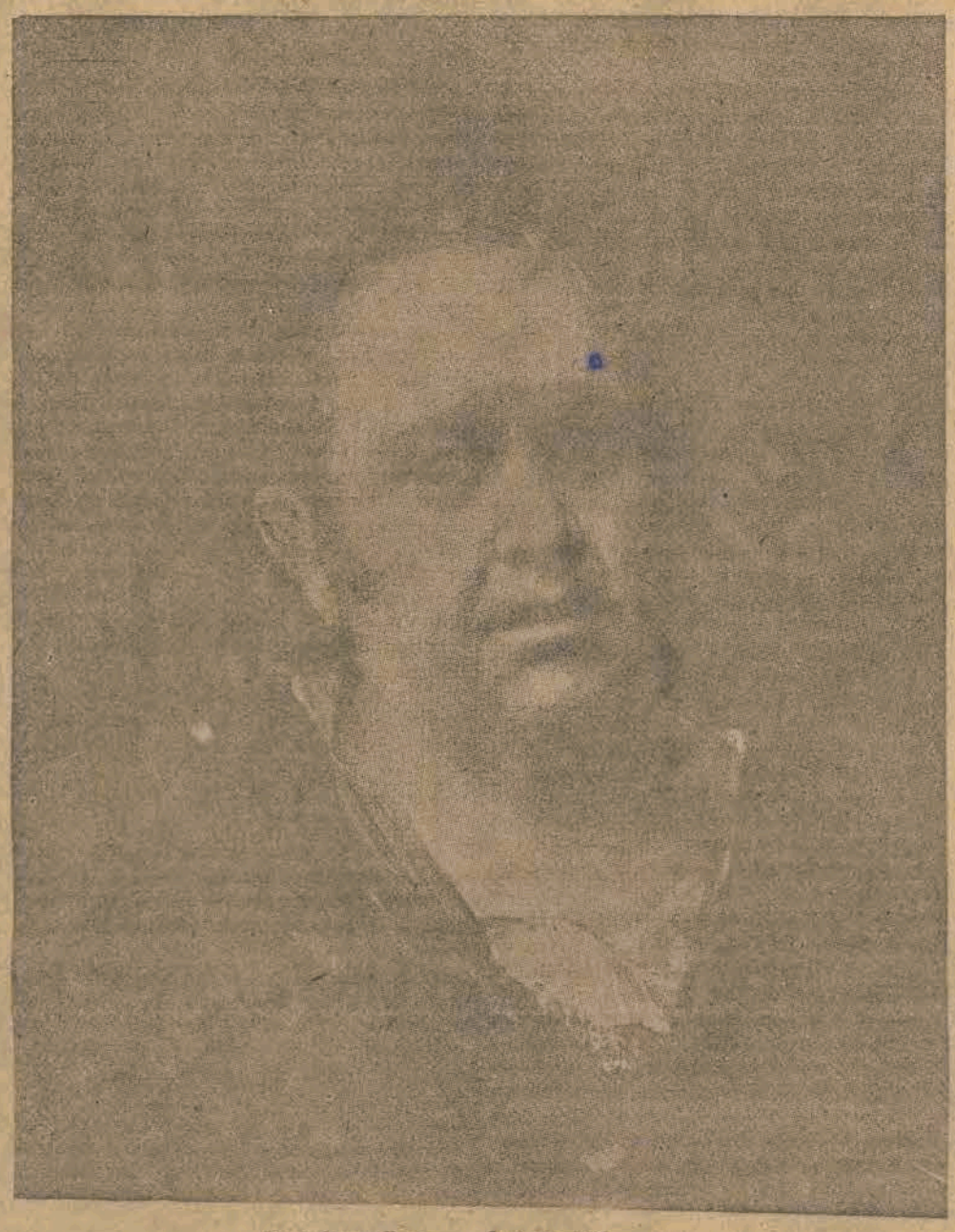

Francisco Goya – Autoportret

Dlaczego tak jest?

Odpowiedź daje na to sam Goya mówiąc: **„Tylko krew płonie bez ognia"**. Zaiste wiele jest w twórczości Goyi owej krwi płonącej jakimś straszliwym płomieniem bez ognia. Nie tylko w „Los Caprichos", przedziwnych groteskach, dziwolągach dogmatycznej fantazji, nie tylko w scenach walk byków z cyklu „La Taoromaquia", nietylko w najkrwawszych z tych rysunków „Los Desastres de la Guerra" ale i w portretach dynastii Bourbonów w „Maii" nagiej i ubranej, w „Pogrzeb mieszkanki Sardynii", nie mówiąc już naturalnie o „Bitwie pod Puerta del Sol" czy „Rozstrzelaniu mieszczan madryckich". Płynie ta krew gorejąca nawet wtedy, gdy Goya maluje takie sceny jak niezapomniana „Junta".

Goya, syn hiszpańskiego ludu, siłą rzeczy urzeczony być musiał malarstwem swych hiszpańskich poprzedników, musiał ich studiować i poznawać drogi ich twórczości. Mistrzem Goyi był Velasquez, musiał nim być, skoro sewilczycy na pomniku jego wyryli słowa: „Al Pintor de la Verdad" — „Malarzowi Prawdy". Urzeczony siłą wielkiego realisty Goya przerysowuje jego obrazy, interpretuje je, stwarzając z nich nowe arcydzieła przesycone jeszcze ostrzejszą atmosferą. Przyjrzyjmy się goyowskiej transkrypcji z obrazów Velasqueza „Las Meninas" portretowi Infanta Don Fernanda i in. a zobaczymy ją jak najwyraźniej.

Okrutna szczerość jego twórczości, namiętna i bezwzględna zbliżyła go ponownie do nas. W zasiedziałych czasach pokoju, których przywilejem była naturalna śmierć w łóżku, kiedy krew, obłęd, męczarnie były przeżyciami raczej wyjątkowymi, kiedy masowość gwałtownych śmierci zatarta została po poprzedniej wojnie, Goya był tylko groźnym przypomnieniem i przestrogą.

Ale kiedy rzeź stała się rzeczą zwykłą jak wówczas, w jego wieku dojrzałym, w 1808 roku, roku napoleońskiego pochodu na Hiszpanię, kiedy w naszych oczach „Jeźdźcy Apokalipsy" — jak za owych czasów — przecwałowali przez pobojowiska Europy, kiedy objęci zostaliśmy pożogą „Totaler Krieg", Goya przestał być dla nas tylko fantazją koszmarną.

Masowość Goyi oparta jest o cierpienie, cierpienie bardzo materialne, często niewykraczające poza ramy bólu fizycznego i rozpaczy duchowej. Nie ma w „Okropnościach Wojny" nic z owego ducha scholastycyzmu otchłani piekieł i czyśćca, w jakiej nurzają się bohaterowie Dantego, w jakiej istnieje malarstwo Boscha. Granicą wszystkiego jest u Goyi śmierć. Aktorzy jego kartonów nie są przeznaczeni do pozagrobowego życia w abstrakcyjnej wieczności.

My, którzy obcowaliśmy już nie z widmami lecz z realiami obozów śmierci, komór gazowych, szubienic, głodu, tyfusu, bestialstwa, męczarni, wobec których tortury przesłuchań w lochach Escurialu wydają się błahostką, odnajdujemy w Goyi swoje własne, osobiste przeżycia. Wizje Goyi nie blednąprzy nich, wprost przeciwnie rozrastają się w naszych oczach, zmieniają się w prawdę, w rzeczywistość naszą.

Drugim aspektem, który czyni nam bliskim Goyę, jest jego ludzkość, żywy humanistyczny nurt przeciwstawiony zwierzęcości, nieczłowieczeństwu. Ten wielki artysta, rewolucjonista, nieubłagany krytyk dynastii i porządku społecznego, zapalony wyznawca idej jakobińskich i zdobyczy Rewolucji Francuskiej dokładnie rozdziela te siły. Nie może i nie chce patrzeć z zachwytem na to, gdy żołnierze Napoleona, żołnierze Republikańskiej Francji niosą śmierć, spustoszenie i cierpienie jego ojczyźnie. Nie chce przyjąć tych swobód, jakie podają mu Francuzi na ostrzu mokrego od hiszpańskiej krwi bagnetu. Wie, że wolność ludu hiszpańskiego może być wywalczona tylko rękami Kastylczyków, Basków, rękami mieszkańców Madrytu, Sewilli, Barcelony. Najlepszym może terminem na określenie tych walk, na określenie tej postawy jest termin, który po raz pierwszy pojawił się w Rosji w 1812 roku, w roku pochodu Napoleona na wschód, któremu w poprzek jak i w Hiszpanii stanął zbrojny lud rosyjski, kiedy tyły najezdniczej armii niepokojone były zorganizowaną walką partyzancka — to termin „Otieczestwiennaja Wojna" Wojna Narodowa, Wojna w obronie ojczyzny.

Goya traktuje najeźdźców z całą bezwzględnością człowieka, który nie tylko cierpi, ale nad którym w przemyślny sposób znecano się, odbierając mu prawo obrony i odwetu. Jedna z jego plansz zatytułowana „Tampoco" — „I już nic więcej" przedstawia powieszonych Hiszpanów, których zwłok pilnuje gwardzista napoleoński. Przypatrzmy mu się. Oparty na ręce myśli, o czym? W obliczu śmierci gwardzista myśli o życiu. To jasne. Znajdując odpowiedź, znajdujemy równocześnie pewien aktualny nurt, jakieś zgoła kapryśne przywidzenie. Inspirowani „Tampoco" snujemy dalej nić naszej osobistej fantazji.

Ten gwardzista może w tej chwili myśli o słonecznych stokach Szampanii, morskich falach łagodnych w okolicach Marsylii, może o lasach Barbizonu, brukach Paryża, Tuluzy. Może myśli o jakiejś pozostawionej poza grzbietami Pirenejów Margot czy Joannie, może o tysiącu innych spraw, jego tylko obchodzących, ale jedno jest jasne — nie obchodzą go powieszeni. W tym rysunku nie ma nienawiści. Goya wie, że wina gwardzisty jest tutaj mała, ale dzieło wyraża protest przeciwko temu, że tak właśnie jest. Goya oskarża, nie gwardzistę, lecz system.

Wraz z okropnościami wojny powrócił do nas Goya, żywy, przerażający i ludzki.

Czy ten powrót Goyi jest ostatni?

Oto troska.

Francisco Goya – Egzekucja.

Francisco Goya – Disparates Nr 10

IRENA CHMIELEŃSKA

DZIECI WOJENNE

Niedługo przed powstaniem zainicjowano zbieranie i opracowywanie materiałów dotyczących wpływu wojny na dziecko warszawskie. W związku z tym miałam sporo rozmów z ludźmi, którzy prowadzili obserwację życia dzieci na rozmaitych odcinkach, sama zbierałam materiał dotyczący wpływu wojny na pojęcia etyczne dziecka. Materiał ten spłonął.

Jak wynikało ze zbieranych przez nas materiałów — wojna wywarła ogromny wpływ na dziecko wywracając „do góry nogami" jego normalny tryb życia i jego ustalone pojęcia.

Dzieciom nie zostawiono prawie nic z tego, co się im należało. Odmówiono im prawa do domu rodzinnego — rozbijając jakże często i sam dom. Odmówiono im prawa do przyzwoicie zorganizowanej nauki. W szkole— jeśli do niej w ogóle chodziły — spędzały 1 — 3 godziny dziennie. Odmówiono im prawa czytania książek, odmówiono prawa śpiewania, rysowania, gimnastykowania się, uprawiania sportów. Przedziwnych sposobów używać musiała Sekcja Opieki nad Dziećmi RGO, aby wszystko to przemycić w swoich ogniskach, gdzie zasadniczo wolno było jedynie dożywiać. Odmówiono dzieciom prawa niedzielnych wycieczek, prawa zbiórek harcerskich, prawa organizowania sobie życia koleżeńskiego. Odmówiono im prawa do dziecięctwa. Jednocześnie nałożono na nie obowiązki dorosłego: obowiązek pracy zarobkowej, obowiązek troszczenia się o utrzymanie własne i częstokroć rodziny — jaką bądź drogą.

W ścisłym związku z dużymi zarobkami dzieci pozostawała sprawa ich usamodzielnienia się, uniezależnienia od rodziców. Cóż ma do powiedzenia 11-letniemu chłopcu matka, bez której on doskonale da sobie radę, zwłaszcza latem, kiedy łatwiej o nocleg — a która bez niego rady sobie nie da, zajęta pozostałymi dziećmi i chorowita. Więc chłopiec robi co chce — oczywiście pije, pali, z łobuziakami się stowarzysza, jeszcze dwa lata, a zacznie „chodzić na dziewczynki". Zabawy w „ojca i matkę" nigdy nie były tak rozpowszechnione wśród dzieci jak w czasie wojny.

Obciążenie dziecka obowiązkiem dorosłego występowało nie tylko w dziedzinie zarobkowej —w niemniejszej mierze dotyczyło sprawy udziału dziecka w życiu podziemnym. Małe dzieci warszawskie, które przeżywały wiele wraz z rodzinami, umiały być dziwnie męskie, przebiegłe, dyskretne. Trochę dojrzalsze już brały czynny, entuzjastyczny udział w akcji, często miały w swym ręku życie ludzkie, a prawie zawsze ryzykowały własnym. W ogniu walki z okupantem, w atmosferze konspiracji dojrzewały szybko warszawskie dzieci.

Dojrzewały bez dzieciectwa. Ten brak musi się kiedyś odbić na zdrowiu psychicznym człowieka.

Sytuację moralną tych najlepszych maluje pięknie wiersz 20-letniego poety partyzanta:

oddzielili cię, syneczku, od snów co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, — smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte śniegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew szumiące morze!
Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.

Sytuacja była trudna do zniesienia dla dusz wrażliwych, subtelnych. Wielu dusz ciężaru tej sytuacji nie wytrzymało i uległo demoralizacji. Słyszeliśmy wiele o młodocianych bojowcach-bandytach, słyszeliśmy o młodocianych wspólnikach Gestapo, pracujących nie tylko dla zysku, ale i dla sensacji, dla emocji i dla zadowolenia „ambicji".

Obok braku dzieciństwa i warunków powodujących przedwczesną dojrzałość, najistotniejszą cechą sytuacji dziecka był brak elementu stałego, niezmiennego w jego życiu. W warunkach normalnych d z i ś bywa podobne do w c z o r a j, wiemy też czego spodziewać się jutro. Czasy wojenne to ciągła gorączka, stałe napięcie nerwowe. Ojciec wyszedł rano do pracy, nie wrócił i nazajutrz nazwisko jego widnieje na liście przeznaczonych do rozstrzelania. Obawa rewizji, uprzedzenie, utrata mieszkania, tułaczka po znajomych, którzy „robią łaskę". Rodzina nie ma budżetu — dziś wielki zarobek i wielkie obżarstwo, za tydzień głód i brak „widoków". Ciągła tymczasowość, stała „doczesność" wszystkiego. Stąd nastawienie dorosłych, a jeszcze bardziej dzieci na ‚carpe diem". I d. c. tej zasady, jak najmniej myśli o przyszłości. Jutra może nie być.

Wartość moralna traci swą stałość i niezmienność. To co było dobre, stało się głupie, co było ohydne i nie do pomyślenia okazuje się słuszne i pożyteczne.

Głupie, bezrozumne jest być uczciwym w domu, w szkole, tramwaju i handlu. Jedynie mądrze jest — ze wszystkiego umieć skorzystać — oczywiście w sensie jak najbardziej materialnym. Skorzystać z każdej sytuacji—bez oglądania się na sytuację partnera. Na każdym odcinku bezwzględna najprymitywniejsza walka o byt. Egoizm rozwinął się do rozmiarów jakich istnienia nie podejrzewaliśmy. Współczucie przestało istnieć.

Dwa były główne źródła demoralizacji dziecka Warszawy: sprawa żydowska o r a z handel, szmugiel, szaber, kradzież, kant — procedery których ściśle rozgraniczyć nie sposób.

Chłopcy już od lat 6, najczęściej 10 — 13-letni spędzali całe noce na dyżurowaniu przy murach getta i szantażowaniu przechodzących przez mury Żydów. Za dnia ci sami chłopcy prześlizgiwali się pod te same mury, żeby za ciężkie pieniądze sprzedać Żydom chleb i kartofle, a kupić za bezcen ubranie. Nikt nie potrafiłby im wytłumaczyć, że postępują nie właściwie.

Rozmawiałam raz z 10-letnim chłopcem z wysokiej inteligencji. Było to dziecko z tzw. dobrej rodziny. Powiedział mi, że Niemcy słusznie zrobili tępiąc Żydów, bo „teraz my mamy więcej jedzenia, przedtem mamusia i ja mieliśmy gorzej". Spytany, czy uważałby za równie słuszne zabicie jego i jego matki, aby z kolei, któreś z dzieci żydowskich wraz ze swoją mamusią miało więcej jedzenia, odpowiedział spokojnie, po „dojrzałym namyśle", że nie uznałby tego za słuszne, bo „proszę pani, każdy jest egoistą, więc musi myśleć przede wszystkim o sobie, a dla m n i e tak jest lepiej". Trudno o jaśniejsze i bardziej uczciwe sformułowanie swego poglądu.

Pewna 9-letnia dziewczynka spod Warszawy usłyszała, że na torze kolejki leży trup Żydówki. Pobiegła zaciekawiona i wyjęła z ust zabitej złoty ząb, który w triumfie zaniosła matce.

Znałam 11-letnią dziewczynkę, która obserwowała patrząc z okna na drogę wiodącą na miejsce straceń Żydów, wyławianych z okolicy. Kiedy ujrzała prowadzonych na śmierć, wybiegała z domu, wspinała się na palce i przyglądała egzekucjom. Opowiadała mi raz, w parę godzin po fakcie z wielkim przejęciem — nie ze wzruszeniem Boże broń, ale z podnieceniem: „Najpierw to ich tak postawili, cała rodzina była, ta matka tak płakała. Niemiec najpierw zastrzelił dzieci" itd.

Rzecz ciekawa — w tych miejscowościach podwarszawskich (dalszych nie znam), gdzie akcji przeciwżydowskiej nie było lub polegała na względnie spokojnym wywożeniu Żydów — dzieci miały do sprawy „likwidacji" tych stosunek bardziej obiektywny, spokojny. Często słyszało się zdanie, że „niedobrze Niemcy postępują, bo przecież Żyd, to taki sam człowiek, tak samo chce żyć, jak i my".

Tam natomiast, gdzie dzieci były świadkami znęcania się, zabójstw, gdzie w dodatku miały możność wzięcia udziału w rabunku mienia pożydowskiego — tam odnosiły się przeważnie entuzjastycznie do akcji.

Wydaje się to dziwne. Sadziliśmy, że dziecko może wypowiadać bardziej „krwiożercze" zdania, gdy nie widzi ich realizacji. Sądzilibyśmy, że mówi wtedy coś, o czym nie ma pojęcia, z braku wyobraźni.

Tymczasem rzecz ma się przeciwnie. Dziecko nie potrafi się wczuć w sytuację i w przeżycia innych. Jest natomiast żadne sensacji, silnych przeżyć, emocji. Jest ciekawe i to, że „matka tak płakała, a Niemiec zabił najpierw to mniejsze dziecko, a potem itd" stanowi dla niego zdarzenie interesujące, jak dla dorosłego film kryminalny.

Z jednej ze szkół — a zapewne nie z jednej, tylko o tej jednej słyszałam — dzieciaki całą chmarą biegły na miejsce egzekucji Polaków, oglądać „mózg na ścianie". Tłumami biegały warszawskie dzieciaki oglądać powieszonych na Lesznie.

Dzieci polskie wiele miały okazji do przeżywania emocji: Niemiec strzelał do „Jude", a on wołał „Jude!" spotkawszy go. Bezmyślnie powtarzał, naśladował i bawił się. Że bito i zabijano nie jego i jego najbliższych, że mógł patrzeć spokojnie i z pełnym poczuciem osobistego bezpieczeństwa — wbijało takiego dzieciaka w dumę, czuł się kimś lepszym, wyższym, nietykalnym wobec tych, których w jego oczach i ku jego uciesze poniewierano. Bawił się niemiecki żandarm i bawiło się polskie dziecko.

Niemcy oswoili nasze dzieci i nas dorosłych zresztą także z pojęciem człowieka i podczłowieka. Żyd, to było coś gatunkowo odmiennego. Znane było zapytanie kilkuletniego chłopca, spopularyzowane przez tajną prasę: „mamusiu, czy to człowieka zabili, czy Żyda?"

Dziecko nie jest krytyczne. — Dla umysłu krytycznego sugestywnie podane zdanie staje się jego zdaniem. Spotykałam dzieci, które mi wyjaśniały, że Niemcy postąpili doskonale tępiąc Żydów, bo „Żydzi mieli za dużo wszów" (Plakaty: „Żydzi — wszy — tyfus plamisty"). One same jednak nie chciałyby zginąć, gdyby uległy zawszeniu. Nie potrafię postawić prognozy, jaki będzie dalszy rozwój moralny dzieci, którym w okresie kształtowania się pojęć i form etycznych wmontowana została zasada, że dobrze jest zabić kilka milionów ludzi po to, aby móc — po nieco tańszej cenie kupić słoniny.

Ogromne spustoszenie moralne poczyniły w duszch dzieci, obok sprawy żydowskiej — handel, szaber, kradzież, rabunek. Każdy sposób był dobry, jeśli dawał zarobek. Ileż dzieci utrzymywało rodziny z kradzieży węgla na torach! Ileż jeździło na szmugiel. Jeździli mali — z matkami w charakterze „ausweisu", chroniącego matkę od złapania na roboty, nieco starsi — już samodzielnie. Sprytne oszustwo w handlu było chlubą.

Dziś całe bandy dzieci warszawskich i podwarszawskich, a także dzieci wschodu jeżdżą do Niemiec na szaber. Bufory wagonów oblepione są tym towarzystwem. Zmierzwiony łeb, w łachmanach, skulony od zimna i deszczu podróżuje 10-letni człowiek. W ustach papieros, z kieszeni wygląda butelka bimbru, za pazuchą bułka z kiełbasą. Czasem dojedzie do Berlina, który nie zawsze zresztą mieści się w Berlinie— czasem nie dojedzie. Nie wszędzie wachy puszczą. Ale da sobie radę — nie występuje w pojedynkę. Ma kolegów. Jeśli nie pojedzie — pospołu okradną lub ograbią powracających z Niemiec. Popchnie swoje życie o jeden dzień naprzód.

Dziesięcioletnie dziewczęta spytane przez opiekunkę społeczną o zajęcie matki odpowiedziały najspokojniej: „mama jeździ kraść do Prus".

Nie będziesz kradł — nie będziesz jadł.
Nie będziesz brał — nie będziesz miał.

Oto hasło naszych dzieci. Dziecko, które samo nie kradło — widziało wokoło kradzieże. Z czego żyli pracownicy kolejowi, robotnicy fabryk — przecież nie z pensji — z kradzieży. Każdy o tym wiedział dobrze. Nie wiem, czy już tamci mogą żyć inaczej, to—wiem, że niektórzy urzędnicy nadal chcą żyć z łapówek i kantów. Ich dzieci patrzą na to.

Opaczny był też stosunek dzieci do takiej wartości, jaką jest praca. Zagadnienie pracy w szkole i dla szkoły prawie nie istniało. Do szkoły albo „opłaciło się" przychodzić, albo nie. Zależało od tego, czy było tam ciepło, czy dawali zupę i jaką, czy można było zahandlować. Wiele dzieci rezygnowało ze szkoły.

Z zawodów jedynie mechanika obierana była chętnie przez chłopców. Każdy prawie chciał być mechanikiem samochodowym. Zważywszy obecną sytuację — samochodziarzy — mieli dobry węch.

Dziewczęta kierowały się do szkół handlowych. Pracowałam w poradni młodzieżowej IX ośrodka na Powiślu. Zdarzało mi się spotkać dziewczęta, kwalifikujące się do seminarium dla wychowawczyń przedszkoli. Przed wojną propozycja skierowania ich do zawodu nauczycielskiego potraktowana byłaby, jako droga do awansu społecznego. W czasie okupacji stosunek do sprawy był bardziej rzeczowy: „Proszę pani, cóż ja z tego będę miała? 170 zł mies., jak nasza pani w ognisku? Mój wujek ma cukiernię, ja pójdę mu pomaagć, jak zarobię, to założę swój sklep".

Nienormalne warunki rozwoju psychicznego miały też dzieci w rodzinach dorobkiewiczów wojennych. Dzieci takich rodzin nie w mniejszym stopniu niż dzieci ulicy poddane były deprawacji — były świadkami niejednej gorszącej tranzakcji, wiodącej do bogactwa.

Stuzłotówki nazywano w takich sferach „drobnymi", obiad w restauracji za 200 zł był uważany za tani. Kiedy odeszła służąca, nie spieszono się gorączkowo ze znalezieniem drugiej — w „taniej" restauracji spożywano obiady po 200 zł od łebka. Utrzymanie rasowego pieska — ulubieńca jedynaczki wynosiło miesięcznie skromną sumkę 3.000 zł.

Dzieci takich rodzin nastawione były wyłącznie na użycie — i to użycie często bezsensowne — jako najwyższy cel istnienia. To, oraz zupełny brak zainteresowania dla sytuacji w kraju i sytuacji innych ludzi, brak moralnego przykładu w najbliższym otoczeniu — paczyło tragicznie dusze tej kategorii dzieci.

Dziś—podrośłszy już nieco, osiemnastoletni, marzą, jakim by sposobem wydostać się „z tego bałaganu, w którym przecież nie będę siedzieć wiecznie" i znaleźć się na placówce dyplomatycznej w Ameryce.

KONOPNICKA PO ROSYJSKU

Rzadko się wspomina o tym fakcie, że pierwsze nieśmiałe kroki poezji rosyjskiej związane były z kulturą polską. Pierwsi poeci rosyjscy pisali pod wpływem Reja i Kochanowskiego. Był to w poezji rosyjskiej okres wiersza sylabicznego, który trwał od w. XIV do XVIII, a ściślej do roku 1732, kiedy ukazała się w druku rozprawa Trediakowskiego o wersyfikacji metrycznej, będąca zapoczątkowaniem rosyjskiego wiersza sylabo-tonicznego. Wiersze sylabiczne nazywano nawet „wirszami", co było niczym innym jak zukraińszczonym polskim wyrazem. W późniejszej epoce, kiedy ostatecznie zwyciężyła sylabotonika, nazwa ta używała się dla określenia grafomanii — zwyciężony nigdy nie ma racji. Od tej pory sylabiczne wiersze znikają w poezji rosyjskiej na dwa stulecia. System sylabotoniczny całkowicie opanował rosyjską poezję, do tego stopnia, że powstał mit o niestosowności sylabicznego systemu dla języka rosyjskiego. Mit ten został obalony przez regularne „pauzniki" symbolistów, czyli takie wiersze, w których w każdej linijce brakuje jednakowej ilości nieakcentowanych sylab. Toniczna zasada regularnego następstwa po pewnej ilość: sylab nieakcentowanych sylaby akcentowanej w „pauznikach" jest naruszona, natomiast ilość sylab w każdej linijce pozostaje stała, a więc z sylabotonicznego powstaje wiersz sylabiczny. Przykłady takich wierszy znajdziemy u Błoka, u Briusowa i innych poetów, którzy święcie wierzyli, że eksperymentują nad nowym rosyjskim wierszem tonicznym, tworząc w istocie nowy rosyjski wiersz sylabiczny. Regularne „pauzniki" były zjawiskiem przypadkowym i tworzyły formę przejściową do „pauznika" nieregularnego, „dolnika" i verslibru. O ile nam wiadomo, pierwszym świadomym nowym rosyjskim sylabicznym wierszem po dwóch stuleciach była „Duma o Opanasie" Bagrickiego. Bagricki użył tu 8-zgłoskowca trocheiczno-amfibrachicznego. Są również próby u innych poetów zastosowania 11 i 13-zgłoskowców sylabicznych, ale jeszcze nikt zdaje się nie zastosował tak zdecydowanie nowego rosyjskiego wiersza sylabicznego, jak Kowaleńskij w przekładach wybranych wierszy Konopnickiej, które się ukazały w serii „Biblioteki słowiańskiej". Ponieważ krytyka radziecka nie porusza formalnej strony przekładów Kowaleńskiego, spróbujemy ją zanalizować.

Zamiar tłumaczenia klasycznego polskiego wiersza sylabicznego niestosowanym obecnie w poezji rosyjskiej wierszem sylabicznym powstał na tle teoretycznych założeń formalnej szkoły przekładu. Od strony tradycji literackich, odpowiednikiem polskiego klasycznego 13-zgłoskowca byłby rosyjs· wiersz aleksandryjski — 6-stopowy jamb, 11-zgłoskowca — jamb 5 albo 4-stopowy. Tak Puszkin rozpoczął swój wolny przekład „Konrada Wallenroda" 4-stopowym jambem. Pod tym względem metoda przekładów Kowaleńskiego nie jest słuszna, ale jako eksperyment formalny zasługuje na uwagę.

Kowaleńskij przełożył 13-zgłoskowcem sylabicznym m.in. 6 sonetów z włoskiego cyklu „Morze". W sylabicznym wierszu, przeniesionym na grunt rosyjski, mimo woli silniej występuje strona rytmiczna. Więc porównując je z wierszami oryginału, musimy główną uwagę zwrócić na ich stronę dynamiczno-rytmiczną. Otóż w przełożonych sonetach Konopnickiej mamy w oryginale 16 rytmicznych wariantów. Cześć wiersza przed cezurą dąży u Konopnickiej ku rytmice jambicznej, zaś druga cześć — po cezurze — ku rytmice amfibrachicznej. Rytmicznych wariantów typu o—o—o—o/o—o o—o.

(„O morze! Tyś tej nędzy upojeń puharem!") spotykamy 27,4%; —oo —o—o/o—o o—o („Tłum ostrygajów krzyczy, kłab dzieci się wali...") — 17,9%; .—o —oo —o/o—o o—o („Łodzie, sznury, pomosty, plusk wioseł i fali...") — 13% i o— o— o—o/—o —o — o („Ze śmiałych ciał, ze złotych źrenic bucha żarem...") 9,5%. Są to najczęściej spotykane w oryginale tłumaczonych 6-ciu sonetów rytmiczne schematy. Żadnego z nich nie znajdujemy w przekładzie Kowaleńskiego. Jego 13-zgłoskowiec jest jednostajny. Pierwsza połowa wiersza przed cezurą w przekładzie jest zawsze jednakowa pod względem rytmicznym: jest to 2-stopowy anapest (gdzieniegdzie występuje dodatkowe akcentowanie na pierwszej sylabie). Druga cześć wiersza ma tylko dwie odmiany: amfibrachiczna (o—o o—o) i trocheiczna (—o —o —o). Połączenia tych części spotykamy u Konopnickiej w nieznacznym procencie: 4,8% i 1,2%. Właściwie mówiąc, Kowaleński używa wiersza, który na tle tradycyjnej rosyjskiej sylabotoniki brzmi jako czterostopowy anapest, urozmaicony wzniocniona cezura, co się rekompensuje skróceniem jednej sylaby w drugiej części wiersza:

oo— oo— o/o— oo—o.
oo— oo— „o"/oo— o —o

Wiersz ten należałoby nazwać imitacją wiersza sylabicznego, ale trzeba przyznać, imitację bardzo zręczna, o brzmieniu zbliżonym do patosu polskiego trzynastozgłoskowca.

Mniej szczęśliwie wypada u Kowaleńskiego rosyjski 11-zgłoskowiec. Dla oddania 11-zgłoskowca Kowaleńskij obrał klasyczny 5-stopowy jamb z cezura na drugiej stopie i z zastąpieniem w drugiej połowie wiersza jambu przez amfibrach. Odmiana ta nie jest dobrze pomyślana, ponieważ rozbija jamb, uwypuklając jambiczny dwustopowy rytm pierwszej połowy wiersza. Stały 2-stopowy jamb rozpoczynający każdy wiersz, wytwarza monotonię i szybko nuży czytelnika, tym więcej że Kowaleńskij tłumaczy w ten sposób obszerne fragmenty „Pana Balcera". Mimo to przekłady Kowaleńskiego są nowym krokiem w kierunku odrestaurowania zapomnianego sylabicznego wiersza rosyjskiego i nie mogą być pominięte milczeniem.

Leon Gomolicki

W poprzednim (14) numerze „Kuźnicy" z dnia 2 grudnia 1945: Władysław Broniewski – Nic więcej. – A kiedy będę umierać. Józef Wittlin – Stabat Mater. Zofia Nałkowska – Medaliony: Profesor Spanner. E. Warga – Przebieg cyklu przemysłowego po skończonej wojnie w Europie. St. Ryszard Dobrowolski – Październik. – Gdzie indziej dom. Władysław Rymkiewicz i Bohdan Tuhan – Tło rewolucji społecznej XVII wieku. Bolesław Dudziński – Casus Majora Huberta. Kazimierz Majewski – Muzea w nowej Polsce. Henryk Szipper – Jeszcze o stratach wśród polonistów. Adam Szaff – Wybitny psycholog radziecki. Andrzej Kruczkowski – W kwietniu czy w maju. Rozmaitości – W fabryce i w poemacie – Adam Ważyk. W poszukiwaniu niemieckiej duszy – Jan Bukowski. Czeska łagodna rewolucja – wdka. Nowe książki – bd. Przegląd prasy – ph. Satyra – Jan Huszcza. Noty.

Wstępny rok studiów w szkołach wyższych

W dn. 24 maja r. b. wyszedł dekret o utworzeniu wstępnego roku studiów w szkołach wyższych, na okres przejściowy, aż do odwołania. We wstępie dekret motywuje potrzebę utworzenia Kursu „katastrofalnym zmniejszeniem się napływu kandydatów, posiadających przygotowanie do studiów wyższych", wynikającym z 6-letniej przerwy w normalnej pracy szkolnictwa, stratami, jakie poniosła w okresie okupacji inteligencja polska oraz potrzebami likwidacji skutków wojny, dźwignięcia, odbudowy kraju, która wymaga szybkiego szkolenia wykwalifikowanych specjalistów we wszystkich dziedzinach.

Przewidywany okres „przejściowy" trwać może szereg lat, w jednym najbliższym roku zamierzony cel nie zostanie bowiem osiągnięty. Niezależnie jednak od czasu trwania Kursu wysuwa się zagadnienie, czy tylko doraźne łagodzenie krzywdy, wyrządzonej przez wojnę młodzieży, pośrednio całemu społeczeństwu, przez zahamowanie normalnego szkolnictwa, wywołu je potrzebę zorganizowania Kursu, który by w tempie przyśpieszonym przygotowywał spóźnioną młodzież do studiów? Czy poza tymi aktualnymi potrzebami nie istnieją in ne, głębiej sięgające motywy, wynikające z przeobrażenia struktury gospodarczej i społecznej kraju, które by mogły skłonić władze oświatowe do tworzenia wyjątkowych form przygotowania młodzieży do studiów, poza normalną szkołą?

Uzyskanie przez masy robotnicze i chłopskie prawa wstępu do szkół wszelkiego stopnia nie rozstrzyga jeszcze sprawy możliwości ich realizowania. Warunki życia: trudności materialne, konieczność zarobkowania od najmłodszych lat, niski poziom kulturalny najbliższego otoczenia, niezrozumienie przez dane środowisko wartości wiedzy, różnorodne przeszkody, często nie do pokonania, stają przed młodzieżą rzemieślniczą, robotniczą w mieście, chłopską na wsi w uzyskiwaniu dostępu do wyższych uczelni na drodze normalnego wykształcenia w szkole średniej. Olbrzymią przewagę, niemal monopol, w uniwersytecie posiadała dawniej, zachowała również w znacznym stopniu obecnie, młodzież, pochodząca ze sfer inteligencji, zwłaszcza urzędniczej, i tego przywileju inteligencja, biurokracja, zazdrośnie, usilnie strzeże. Przełamanie tradycji, burzenie kastowości inteligenckiej przez wprowadzanie świeżego nurtu społecznego, żywiołu chłopsko-robotniczego, przeciwdziałanie zarazem marnowaniu się zdolności, talentów poszczególnych wybitniejszych jednostek, to są motywy, które by obok tendencji ulżenia ofiarom wojny usprawiedliwiały istnienie kursu, przygotowującego w formach odrębnych niż nauczanie liceal ne do wyższych uczelni. Kurs ten, o trwaniu obliczonym na okres dłuższy niż jedynie likwidacji strat wojennych, spełniając swe prowizoryczne zadania trwał by aż do czasu, gdy zasadnicze reformy, przeprowadzane w systemie szkoły powszechnej, dałyby w rezultacie siłą rzeczy normalne zdemokratyzowanie młodzieży, napływającej do uniwersytetów, odpowiadającej w swym składzie społecznym istotnemu ustosunkowaniu warstw i sił całego społeczeństwa.

Zachowanie właściwego poziomu studiów uniwersyteckich z jednej, możliwości młodzieży pracującej zarobkowo, zwykle fizycznie, z drugiej strony, winny określać wymagania, stawiane przy przyjmowaniu kandydatów na Kurs Wstępny. U podstawy wymagań, które mają zakwalifikować do pracy na Kursie, następnie do studiów uniwersyteckich, należało by stawiać nie zasady formalne, a więc przede wszystkim nie świadectwo szkolne, nie posiadanie „małej matury" lub jej równoważnika, lecz ocenę rozwoju umysłowego, zasobu wiedzy, zdobywanej przez młodzież drogami różnorodnymi, jakże nieraz niezwykłymi, przypadkowymi, w ostatecznym jednak rezultacie wiedzy niejednokrotnie rzetelnej, bogatej, choć niekiedy chaotycznej, myśli świeżej, bynajmniej nie wyjątkowo samodzielnej, oryginalnej, aczkolwiek może nie metodycznie ćwiczonej. Do kwalifikowania kandydatów na Kurs (od 18 do 30 roku życia) zostały powołane przez Ministra Oświaty w siedzibach Kuratoriów okręgów szkolnych Komisje Weryfikacyjno - Kwalifikacyjne, złożone z nauczycieli szkoły średniej; egzaminy są przeprowadzane w trzech kadencjach rocznie. Do egzaminu dopuszcza kierownik Komisji, który nie wymagając ukończenia formalnie szkoły średniej, ma za zadanie ocenić ogólny rozwój i inteligencję kandydata i na tej podstawie skierować go na I rok studiów uniwersyteckich lub na Kurs Wstępny; na tym Kursie studiująca młodzież ma mieć zapewnione prawa akademickie. Należało by stosować system jak najbardziej liberalny przy dopuszczaniu kandydatów na Kurs, na którym przy poważnej intensywnej pracy dokonywać się będzie proces selekcji naturalnej, samorzutnie bowiem odpadną stopniowo jednostki, które pracy nie podołają. Pewna strata, wynikająca z tych zawodów, okazała by się jednak znacznie mniejsza niż pomyłki w doborze kandydatów, popełniane przy postępowaniu zanadto rygorystycznym; społeczeństwo nasze jest zbyt ubogie, aby dopuszczać do marnotrawienia zdolności ludzkich.

Aby praca na Kursie dała odpowiednie jego założeniu i zadaniom rezultaty, należy ją przystosować do najbliższego celu, a więc należytego przygotowania uczniów do studiów uniwersyteckich, tak by słuchacze nowego typu nie wpływali na obniżanie poziomu naukowego uczelni; z drugiej jednak strony należy w metodzie pracy uwzględniać odrębne potrzeby i możliwości uczniów w procesie nabywania systematycznej wiedzy. W zakresie wyboru materiału naukowego na Kursie musi być uwzględniony nowy typ słuchacza; Kurs nie może stanowić surogatu liceum, realizować w skrócie programu szkoły średniej, natomiast powinien zmierzać ku dostarczeniu zasadniczych elementów wykształcenia humanistycznego, ku jego rozszerzaniu i pogłębianiu, oraz ku osiągnięciu na takiej podstawie tych rezultatów, które liceum ma zapewnić swoim uczniom; a więc przez wyćwiczenie umysłu przygotować go do bardziej skomplikowanego procesu myślenia w ramach studiów uniwersyteckich. Program winien dawać podstawy wykształcenia ogólnego, prowadzić do orientowania się w całości kultury ludzkiej, dlatego powinien być na tym etapie ogólny, wspólny dla wszystkich słuchaczy Kursu, bez względu na przyszłą ich specjalizację wedle wydziałów uniwersyteckich, podobnie jak jedyny program ma liceum ogólnokształcące, przygotowujące uczniów do studiów wyższych, co najwyżej z pewnym odchyleniem dla kandydatów do nauk matematyczno - przyrodniczych.

Przewidywane główne luki w przygotowaniu słuchaczów pawdopodobnie sprowadzać się będą do braków w zakresie dyscypliny pracy, umiejętności uczenia się, korzystania zarówno z żywego słowa, jak z książek, z wykładów profesorów, jak z własnej lektury; dlatego nie przedmiot wykładu jest najważniejszy, lecz metoda pracy. Na umiejętność samokształcenia należy zwrócić szczególną uwagę, bo na nim przede wszystkim oprzeć się musi przygotowanie w danych warunkach do studiów uniwersyteckich. Głównym zadaniem Kursu jest nie nauczanie w formie wykładów, lecz pomoc w samodzielnej pracy uczniów, przeważnie dotychczas samouków, którzy własnym wysiłkiem dochodzili do rezultatów nawet znacznych, nie dostatecznych jednak właśnie z powodu nieumiejętnie nabywanej wiedzy, braku odpowiednich wskazówek. Zorganizowane kierowanie samodzielną pracą uczniów na Kursie stanowi najważniejsze i najtrudniejsze do rozwiązania zadanie, wymaga obmyślenia nowych metod, dla których brak u nas wzorów; nie wystarczy tu zwykłe porozumiewanie się konsultacje, doraźnie prowadzone przez wykładających; konieczne jest zaprowadzenie i utrzymanie stałego bezpośredniego kontaktu między uczniami Kursu i nauczycielami. Młodzi pracownicy naukowi, którzy nie tylko posiadają wiedzę, ale opanowali metodę pracy naukowej, mogli by swym świeżym doświadczeniem w tej dziedzinie służyć młodzieży, pozostając w jak najczęstszym i najżywszym z nią obcowaniu, czy to w postaci ćwiczeń, konwersatoriów, wskazówek i kontroli w zakresie lektury, czy w formie referatów, dyskusji. Pomoc i opieka winny być roztaczane nie tylko w zakresie naukowym, dydaktycznym, ale także wychowawczym, w celu podniesienia poziomu intelektualnego, społeczno-etycznego, obyczajowego, estetycznego. Pożądane byłoby, aby słuchacze, rozbici na drobniejsze grupy, pozostawali pod bezpośrednim kierunkiem poszczególnych „tutorów", asystentów, starszej młodzieży studenckiej, która osiągnęła pewien wyższy poziom naukowy i moralny.

Istnienie Kursu to nie tylko problem pedagogiczno - naukowy, lecz także społeczny. Kurs ma za zadanie nie tylko uzupełnianie liczby studentów, ale także zmianę ich społecznego składu. Miało by to wpływ na charakter studiów, niszczyło by stopniowo zmurszały tradycjonizm, rozpowszechniony w uniwersytetach, skłaniało by do doświadczeń, poszukiwania nowych metod pracy; poza uniwersytetem prowadziło by do zasilania społeczeństwa nową, nie tylko liczniejszą lecz świeższą niż dotychczasowa warstwą inteligencką, bogatszą w inicjatywę, bardziej aktywną i więcej zbliżoną do mas, z których wyszła, a które posiadając prawa, nie mają warunków, często umiejętności do ich zastosowania, co w ostatecznym rezultacie prowadzi do zubożenia życia w jego całokształcie.

Rząd dąży do demokratyzacji szkół wyższych, do udostępnienia ich wszystkim warstwom społecznym, ale „najlepszy ustrój szkolny i najwyżej stojąca szkoła nie zmieni w niczym sytuacji, jeśli ekonomiczne i polityczne upośledzenie mas pracujących uniemożliwia im korzystanie z dobrodziejstwa nauki" (v.min. Bieńkowski). Praca w powyżej zarysowanych formach dała by się zrealizować tylko przy organizowaniu burs. Sam system bezpłatności szkoły nie rozwiąże problemu bezpłatnego nauczania; rozbudowany system stypendiów nie podoła również całkowicie temu zadaniu. „Bez budowy internatów szkolnych nie wyobrażam sobie demokratyzacji życia szkolnego w Polsce", oświadczył minister Skrzeszewski. Okólnik Kuratorium łódzkiego oznajmia: „Ministerstwo Oświaty zapewniło, że stworzy młodzieży na Kursie warunki materialne do pracy na uczelni". Bursy, należycie urządzone, mogą spełnić dwa zadania zasadnicze: umożliwić kierowanie pracą młodzieży i przede wszystkim zapewnić utrzymanie uczniom Kursu, którzy by dzięki temu byli zwolnieni od konieczności zarobkowania i mogli wyłącznie poświęcić nauce czas, energię, zdolności. Koszty utrzymania internatu a na razie przynajmniej zapewnienia lokalu, stołówki, pomocy naukowych, przy nauce w każdym razie bezpłatnej, powinny być rozłożone na państwo, samorząd, organizacje społeczne, które kierowały swych kandydatów na Kurs, a które na drodze udzielania pomocy uczącej się młodzieży, poza ogólnym spełnieniem społecznego obowiązku, odnosiłyby korzyść bezpośrednią z przygotowywania dla siebie przez odpowiednie wykształcenie wykwalifikowanych pracowników.

Na Kursie Wstępnym obowiązywać winny ogólne zasady nowego systemu szkolnictwa, zmierzającego ku uprzystępnieniu szkół wszelkich stopni ogółowi społeczeństwa, zależnie od uzdolnień i pracowitości kandydatów wyłącznie; ku zorganizowaniu szkolnictwa, odpowiadającego potrzebom życia praktycznego doby obecnej. Zanim zostanie określony i ustalony typ nowej szkoły, strzec należy, aby już w prowizorycznej postaci Kursu nie wypaczyć jego charakteru, wynikającego z pierwotnych założeń; aby Kurs nie stał się szkołą zdeklasowanych wykolejeńców, którzy by na krótszej łatwiejszej drodze dążyli do osiągnięcia dyplomu, potrzebnego dla startu w dążeniu do karjery życiowej. Natomiast zdecydowanie realizowane winno być zadanie Kursu: przez dokonanie wyłomu w dotychczasowej organizacji studiów uniwersyteckich ułatwianie i przyśpieszanie w okresie przełomowym procesu przygotowywania demokratycznej młodzieży do pracy nad budową przyszłości narodu polskiego.

Natalia Gąsiorowska

Rozmaitości

Na temat Majora Huberta

Niedawno w rozważaniach na temat „Cyda" (Kuźnica Nr. 8) Kazimierz Wyka zastanawiał się nad honorem poszczególnych postaci Corneille'a. Wyka zauważył, jak dalece te pojęcia honoru są formalistyczne, wysuszone z treści moralnej, uwikłane w pustych pozorach, jak wybitnie w kompozycji tragedii Corneille'owskiej nad tym światem skostniałej normy góruje działanie poparte żywą obiektywną treścią moralną. Czemu się tak dzieje? „Cyd" jest tragedią obowiązku, dwie koncepcje obowiązku, żywa i martwa, ścierają się w kompozycji utworu, były odbiciem ówczesnej walki absolutyzmu z władzą feudalną. Forma feudalizmu, jako władzy państwowej była już historycznie zdystansowana, pancerz jej pękał, honor, który był jej ostoją, kruszał. Corneille zgodnie ze swoją postępową orientacją rzecznika monarchii absolutnej, nie mógł feudalnego pojęcia napełnić tą żywą treścią moralną, którą tętnić zaczyna inne pojęcie obowiązku zrodzone z koncepcji władzy ogólnopaństwowej, o ileż bliższe kategoriom narodowym. Na to, aby jakaś racja moralna nabrała charakteru obiektywnej racji, potrzeba, aby zamieszkała w tym obozie, który dla swoich czasów był obozem postępu.

Martwe, pozbawione obiektywnej racji pojęcia honoru, na które zwrócił uwagę Wyka w tak odległej od naszych czasów tragedii Corneille'owskiej, przypomniały mi się, kiedy czytałem tak bliską naszym czasom, aktualną opowieść Adolfa Rudnickiego o Majorze Hubercie, który przejrzał swoją omyłkę, przekonał się, że w swojej działalności politycznej służył kłamstwu, ale nie chce wracać do kraju, bo w jego pojęciu byłoby nieszlachetnie przechodzić na stronę silniejszych. Postawa Majora Huberta, jego „szlachetność" jest swoistą odmianą zmartwiałego przed wiekami poczucia honoru, ukształtowaną w warunkach historycznych, w jakich rozbitki arystokracji zachowywały swoją pozycję gorzkiej izolacji moralnej wobec wszelkich silniejszych, początkowo wobec mieszczaństwa i plutokracji, a później wobec mas ludowych. Jego pojęcie szlachetności i zdrady oderwało od sprawdzianu obiektywnej prawdy. Dlatego zdradą dla niego będzie pojednanie się z silniejszymi, choćby prawda była po ich stronie, a rozsiewanie kłamstwa w warunkach, kiedy to nie popłaca, nie będzie dla niego rzeczą nieszlachetną.

W poprzednim numerze „Kuźnicy" Bolesław Dudziński omawiając „casus Majora Huberta", odkrywa w tej postawie fałszywy sylogizm. Słusznie, bo każda postawa duchowa, z chwilą kiedy staje się martwa, rozpada się na fałszywe sylogizmy. Poczyniwszy to odkrycie, które dla żadnego czytelnika opowieści Rudnickiego nie ulega wątpliwości, Dudziński w szlachetnych i patriotycznych intencjach wyważa drzwi, które autor otworzył i minął. Dudziński dowodzi Majorowi Hubertowi, że nie ma on racji i wzywa go, aby czym prędzej wracał do kraju. Ponieważ Major Hubert jest postacią fikcyjną, a w każdym razie wątpię, czy znajdzie się taka osoba, jaką przedstawił Rudnicki, więc nikt się na wołanie Dudzińskiego nie odezwie, natomiast autor przeczyta i zrozumie, co to wołanie oznacza. Oznacza tyle: „Adolfie Rudnicki, napisałeś niepotrzebną opowieść, uwiodła cię skłonność do komplikacji psychologicznych". A nie jest to słuszne. Gdyby jedynym powołaniem pisarzy były apele do znajomych za granicą, aby czym rychlej wracali, to Rudnicki pisywałby listy otwarte, a nie utwory nowelistyczne. Rudnicki dowiedział się, że niestety Major Hubert nie chce wracać i zastanowił się, jaka może być jego racja. Zastanowił się nie jak znajomy, ale jak pisarz. Ze wszystkich możliwych racji wybrał dla Majora Huberta najszlachetniejszą, a że wszystkie racje są fałszywe, więc i ta jest tyle szlachetna ile honor feudałów w „Cydzie".

Realizm? Tak, jest to realizm. Jedną z zasad tego realizmu jest uprzejmość pisarza, nie zawsze doceniana przez naszych krytyków. Uprzejmość ta nakazuje pisarzowi w walce ideologicznej dać jak największe fory przeciwnikom. Pisarze, jakby powiedział szachista, rozgrywają partię gambitem. Bardzo trafnie (co mu się nie często zdarza) mówił o tym wyposażaniu przeciwnika w jak największe atrybuty w jednym ze swoich artykułów Artur Sandauer. W myśl tej zasady Rudnicki stworzył casus Huberta i rozegrał go gambitem. Na ile jest to casus, a na ile zjawisko powszechne? Jeżeli, jak chciałby Dudziński, będziemy przypisywali setkom oficerów, którzy znaleźli się za granicą w podobnej sytuacji, jak Major Hubert, podobne motywacje moralne i psychiczne, to będziemy się uwodzili tylko pretekstami psychicznymi, które poznaje się po tym, że mają żywot jednodniowej łątki. Przed taką niepotrzebną komplikacją słusznie Dudziński ostrzega, ale niesłusznie imputuje Rudnickiemu, że chciał przedstawić w majorze Hubercie wzorzec tych setek nieokreślonych oficerów. Opowieść Rudnickiego, sens realistyczny i powszechny wybranego casusu nie dotyczy owej gromady oficerów, która stanowi tylko przelotną formację polityczną o najrozmaitszym ukształtowaniu socjalnym. Postawa i motywacja Huberta jest najwyraźniej określona przez jego pochodzenie i całe życie przedwojenne spędzone w sferze artystycznej. Czemu to Dudziński nie zwrócił uwagi na dziwną na pozór kompozycję opowieści, w której połowę miejsca zajmują dobrze znane ludziom tej sfery intymne i nowasteniczne sprawy przedwojenne. Zbiegały się w tej sferze elementy rozmaicie ukształtowane socjalnie, łączyła ich wspólna troska i walka o sprawy sztuki, ich prawość i szlachetność mierzyła się skalą tej sfery, jej zainteresowań i jej faktycznego oderwania od nurtu życia społecznego. A kiedy historia rzuciła tych ludzi na tło wielkich działań społecznych i politycznych... Oto jest casus Majora Huberta.

Dudziński dowodzi, że Major Hubert czyni źle. Rudnicki uznał to za rzecz niewymagającą dowodu. Dudziński twierdzi, że nie może współczuć naprawdę takiemu człowiekowi. Nie wydaje mi się, aby Rudnicki o takie współczucie zabiegał. Niechże jednak krytycy zostawią pisarzom prawo do serdecznego żalu, ile że ten ludzki, głęboki żal służy najsłuszniejszej sprawie i nie mentorskie, pobożne życzenia, ale ten żal ma dar zdejmowania z ludzi zbłąkanych — ostatnich płatów popękanego pancerza honoru i sprowadzenia ich na powrót ze świata urojeń do świata rzeczywistego.

ADAM WAŻYK

Przegląd prasy

Zagadnienia prawne, na ogół rzadko komentowane w pismach literackich, w ostatnich czasach stały się wielce aktualne. Dla literatury, dla pisarza bowiem nie jest obojętne w jakich kanonach prawnych zamyka się moralność ludzka. W swoim czasie Kott w jednym ze swych felietonów w „Odrodzeniu" polemizował z Andrzejewskim na temat stosunku do czynu przestępczego, stojąc na stanowisku, że przestępstwo kwalifikować można według czynów i ich skutków. W „Odrodzeniu" (nr 52) Paweł Horoszowski w artykule „Prawo i Publicystyka" zwalcza tę tezę Kotta, twierdząc, że dla kwalifikacji czynu przestępczego niezbędne jest również zanalizowanie pobudek i stanu psychicznego przestępcy. Autor, prawnik, przytacza szereg dowodów, popierając je cytatami z przepisów prawnych. W poprzednim numerze Wiesław Osterloff w artykule „Źródło przestępczości w ustroju" wskazuje na ewolucje pojęć o źródłach przestępczości, zgodnie z którą kryminologia zrezygnowała z lombrosowskiego pojęcia urodzonego przestępcy i przerzuciła całe zagadnienie z platformy biologicznej na socjologiczną. Osterloff wymienia te instytucje społeczne, które będąc wyrazem „dysharmonii wczorajszego układu socjalnego" chroniły posiadających, stwarzając podział kastowy w którym „szukać należy źródeł powstającej i szerzącej się przestępczości". W dalszym ciągu autor stwierdza, że samo prawo, będąc w założeniach „pozornie demokratyczne" stało w gruncie rzeczy na stanowisku obrony interesów posiadaczy.

Nr 52 „Odrodzenia" w znacznej części poświęcony jest rocznicy mickiewiczowskiej.

Artykuł Boya-Żeleńskiego „Mickiewicz" (przedruk z „Nowych Widnokręgów" 1941) pokazuje nam Mickiewicza żywego, odartego ze strupieszałej profesorskiej legendy. „Jakże często — pisze Boy — imię i słowo Mickiewicza służyło za sztandar hasłom i obozom, które byłyby mu obce lub wręcz nienawistne. Jak często wstecznictwo i sobkostwo odbywało swoje zbory pod wezwaniem Mickiewicza, którego myśl była ich zaprzeczeniem. Jakże często czyniono symbol tradycji — i to jak wtapliwych tradycji! — z tego, który był wiecznym rewolucjonistą — najpierw w poezji a potem w życiu".

O „Panu Tadeuszu" pisze Julian Przyboś w krótkim essayu „Historia szlachecka czyli baśń". Przyboś sprzeciwia się tendencjom profesorskim, „by na „Pana Tadeusza" patrzeć jak na epopeję narodową". Według niego „sens poematu leży głębiej". „Pan Tadeusz" to polonez wyobraźni narodowej. Działa jak polonez Chopina i to jego największa chwała" kończy swój piękny essay Przyboś.

Ksawery Pruszyński w kolejnym z cyklu „Dzieje emigracji londyńskiej" artykule p.t. „Irański odmarsz" analizuje sprawę wyprowadzenia Armii Polskiej z Rosji przez Andersa. Pruszyński słusznie uważa, że decyzja Andersa, powzięta całkowicie na odpowiedzialność tego generała, poważnie zaciążyła na dalszym kształtowaniu się stosunków polsko-rosyjskich, odbierając rosyjskiemu sojusznikowi wszelkie złudzenia na temat możliwości utrzymania dobrych stosunków z ówczesnym rządem londyńskim. Jednocześnie Pruszyński wskazuje na niejednolitą postawę wobec Rosji w samej emigracji londyńskiej, której skrzydło reakcyjne, zwłaszcza w 1941 roku, stawiało na klęskę Rosji. Tej samobójczej tezie przeciwstawiał się, niestety nie dość silnie, Sikorski, który był zwolennikiem porozumienia z Rosją.

Powstał nowy katolicki tygodnik społeczny „Dziś i jutro". Pierwszy numer tego pisma przynosi interesujący artykuł wstępny Bolesława Piaseckiego, stanowiący zapewne credo grupy, której organem jest nowopowstały tygodnik.

Artykuł Piaseckiego „Zagadnienia istotne" dyskutuje ze stanowiskiem pewnych kół, według których „w czasie bliskim obecny układ stosunków polskich będzie wywrócony przez zbrojny konflikt międzynarodowy", lub, że „rzeczywistość dzisiejsza jest tylko krótkotrwałym etapem, przygotowującym formalną i faktyczną dyktaturę PPR-u".

W „Po prostu" redakcja wyjaśnia zmiany światopoglądowe, jakie zaszły wśród obozu narodowo-radykalnego, z którego „wywodzi się swym rodowodem organizacyjnym" część zespołu redakcyjnego pisma.

Stefan Kisielewski w felietonie „Rewolucja której nie ma" wyważa otwarte drzwi, gdy próbuje imputować ugrupowaniom „Kuźnicy" czy „Odrodzenia" że usiłują robić rewolucję kulturalną, której autor felietonu nie stwierdził w naszej rzeczywistości. Nic w tym dziwnego, nikt bowiem rewolucji takiej — jak ją sobie wyobraża autor — nie zamierzał „robić"! Co najmniej nieuzasadnione jest twierdzenie Kisielewskiego, że dokonując próby rewizji literatury dwudziestolecia „podcinamy gałąź na której siedzimy". Zaraz po tym czytamy niepokojące zdanie, które nie raz już rozlegało się przed wojną ze szpalt onegdajszych pism: „Tego poczucia solidarności z kulturą polską nie mają publicyści z łódzkiej „Kuźnicy"; zachowują się jak ludzie zzewnątrz. A ludzie zzewnątrz nigdy nie dokonają rewolucji". Zdanie to pozostawiamy bez komentarzy!

Nowy numer „Odry" (Nr 9) przynosi artykuł Zdzisława Obrzuda „Zaniedbania i zadania naszej wiedzy o literaturze". Autor nawołuje wślad za artykułem Żółkiewskiego „Niedoceniane i przemilczane" do oparcia naszej wiedzy o literaturze o solidne podstawy socjologiczne.

ph.

NOTY

DOBRE RADY

Swego czasu odezwały się głosy — powiedzmy — zdziwienia, że w demokratycznej Polsce tak często używa się słowa reakcja. To słowo boli poniektórych. To ich prawo. Wiemy, aż nadto dobrze, co to jest reakcja. Jest w Polsce reakcja czy nie ma? W interesach reakcji, która w otwartej walce sromotnie przegrała jest udawać, że jej nie ma. Bojówki jej mordują działaczy demokratycznych, anarchizują życie kraju, reszta przyczaiła się, żeruje na trudnościach, szuka furtek powrotu do władzy. To nic, że tymczasem nie pod własnym imieniem.

P. Halina Przeworska w artykule „Grzebanie w popiołach" („Tygodnik Warszawski") sądzi, że nie pokutuje już w naszym życiu szlachetczyzna, że sanacja jest niepowrotnie pogrzebana. Autorka głosi optymistyczną wiarę w braterstwo i moralne odrodzenie. Chcielibyśmy jej wierzyć, że prócz szlachetczyzny i sanacji nie ma żadnych innych postaci reakcji. Może autorka zechce rzucić okiem naokoło, spojrzy realnie — a zobaczy reakcję we wszystkich jej wcieleniach. Wierzymy natomiast, że ze wszystkimi wcieleniami uporamy się, mówiąc utartym językiem utniemy wszystkie łby hydrze reakcji, niezależnie od ich maski. I aczkolwiek szanujemy apostolstwo braterstwa, w żadnym wypadku nie chcemy bratać się z reakcją, która istnieje wbrew twierdzeniu p. Przeworskiej, — twierdzeniu, które nie tylko nie jest prawdziwe, ale — mówiąc po prostu — wręcz szkodliwe, usypia bowiem czujność prawdziwej demokracji.

Zwycięskiej demokracji rad udziela p. Dzikowski w artykule „Zmiana warty" (Gazeta Ludowa, 11 listopada 45 r.). I on radzi czasu i sił nie marnować po próżnicy na walkę z cieniami reakcji. Pisze: „Mamy czasem ochotę zapytać ich po co uderzają nieustannie w trąbkę bojową, skoro w okopach św. Trójcy nie ma już ani jednego żołnierza". A my uważamy, że żołnierze okopów reakcji pochowali się, jedni mordują zza węgła, drudzy brodzą po cichu, inni udają zgoła demokratów. Pisze autor dalej: „Przełom utrwalił się. To co miało być zdobyte, zostało zdobyte. Co miało być zniszczone, zostało zniszczone. Zaczyna się nowe życie, nowy ład i nowa praca. Tak jak po każdej wojnie zaczyna się utrwalanie pokoju, naszego domowego pokoju". Słusznie, podcieliśmy korzenie reakcji — obszarnictwo i wielki kapitał, ale to co przeżyło się nie odchodzi z życia bez walki. Reakcja walczy. W okopach Św. Trójcy czai się jeszcze wróg. Walka trwa. I wiele jeszcze dokonać musi warta demokracji. Ani usypianie czujności, ani doradzanie „zmiany warty" nie przysłuży się sprawie demokracji.

bd

O POSTĘP NA UNIWERSYTECIE

Działalność uniwersytetu łódzkiego jest już w pełnym toku. Wykłada się wszystko: botanikę i stenografię, filologię niemiecką i niemiecką teorię dramatu, problemy dobra i zła i sanskryt, ba nawet niemiecką filozofię idealistyczną z Kantem i jego metafizyką. Na wykładach informacyjnych profesorowie zachęcają gorąco studentów, aby bliżej zapoznali się z dziejami myśli filozoficznej w Europie, bo bez tego we wszelkich badaniach filologicznych, historycznych i literackich ani rusz. I słusznie. Jakże bowiem badacz literatury, kultury, socjologii może wybrnąć z pozornego chaosu wydarzeń dziejowych bez dobrego orientowania się we wszelkich zagadnieniach filozoficznych, będących próbą porządkowania rzeczywistości, próbą podejmowaną przez umysł ludzki.

Na próżno jednak szukalibyśmy w uniwersyteckim spisie wykładów rzeczy, traktującej w jakikolwiek sposób **postępowa** myśl filozoficzną. Że trzeba znać treść europejskiego idealizmu, aby zdać sobie sprawę z niedostateczności i błędności jego postawy — na to zgoda. Ale to nie wystarczy. W miejsce kruszejącej doktryny trzeba wbudować zdrowe i mocne fundamenty filozofii materialistycznej. Trzeba nauczyć młodego człowieka, który będzie tworzył kontynuację naszej rzeczywistości, jak ma się orientować w piętrzących się przed nim problemach historycznych, kulturalnych i społecznych, aby się nie zgubił i aby umiał trafnie je rozwiązywać. Przybierająca na sile polemika o pozytywny program kulturalny w Polsce, o właściwą postawę naszej inteligencji, o trafne porachunki z przeszłością i o nowy typ człowieka w nowej epoce nie może w żadnym wypadku nie dotrzeć i do uniwersytetu. Mamy prawo wymagać, aby szkoła wyższa spełniła swe wielkie zadanie właśnie na terenie wewnętrznej przebudowy człowieka i ażeby się stała ogniskiem, promieniującym prawdziwą myślą postępową. Nie do pomyślenia jest wprost, aby trwał taki stan, że życie swoje, a uniwersytet swoje, właśnie wbrew i przeciw temu życiu.

Stworzenie katedry filozofii marksizmu-leninizmu w uniwersytecie łódzkim jest jednym z najpilniejszych nakazów chwili. Kto weźmie udział w zebraniu jakiegokolwiek koła naukowego studenckiego i przysłucha się studenckim dyskusjom, bardziej niż rozbrajającym w swej naiwności i nieporadności, ten zrozumie to tym lepiej.

j. t.

GALWANIZOWANIE PANEUROPY

Churchill w swoim brukselskim wystąpieniu wypowiedział się za Unią Paneuropejską.

U niejednego, który pamięta ważniejsze fakty polityczne ubiegłego dwudziestolecia wywoła to zdziwienie. Idea paneuropejska w Anglii nigdy popularna nie była. Czternaście lat temu, gdy sprawa Paneuropy stała na porządku dziennym w Zgromadzeniu Ogólnym Ligi Narodów Anglia była tym państwem, które udaremniło wysiłki Brianda, zmierzające do ożywienia tworu paneuropejskiego. Coudenhove - Kalergis, twórca ruchu paneuropejskiego w październiku 1931 roku pisał do mnie, że sir Eric Drummond (późniejszy lord Perth) podówczas sekretarz generalny Ligi Narodów storpedował ideę Paneuropy.

Czym wytłumaczyć tę zmianę zapatrywań partii konserwatywnej? Jaką rolę miała Paneuropa spełnić wówczas, a jaką ma odegrać dzisiaj? Według koncepcji Coudenhove-Kalergis Paneuropa miała być federacją wszystkich państw europejskich z wyłączeniem Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. Taka konfiguracja geopolityczna przyszłej Paneuropy jasno wyznaczała cele polityczne: wyeliminowanie z wpływów politycznych Wielkiej Brytanii i odgrodzenie Związku Radzieckiego od Europy. Takie były dominujące akcenty polityczne, które przykrywała mgława frazeologia pacyfistyczna i zachwyty nad wspólnotą kulturalną Europy. Coudenhove-Kalergis wielce lubił stroić się w togę Demostenesa, przy czym Filipa Macedońskiego wypatrywał na Kremlu. Paneuropa miała uchronić skłócone narody starego kontynentu przed losem, jaki stał się udziałem greckich państewek.

Była to odświeżona i przyfryzowana Mitteleuropa Wilhelma II, w której pierwsze skrzypce miały grać — rzecz jasna — Niemcy, a według złudzeń jakim ulegał Arystydes Briand — duet francusko-niemiecki. Tego rodzaju koncepcja była dla Wielkiej Brytanii nie do przyjęcia mimo dość wyraźnych nutek antysowieckich. Wobec rozgałęzionych interesów imperialnych Wielka Brytania nie mogła rezygnować z wpływów kontynentalnych, jeżeli chciała pozostać metropolią Imperium. A paneuropejska unia polityczno-gospodarczo-celna była niczym innym, jak wyrzuceniem Wielkiej Brytanii poza nawias Europy. I dlatego we wrześniu 1931 roku sir Eric Drummond zagubił paneuropejską inicjatywę w labiryncie proceduralnych przepisów.

Hitlerowcy, niejedno przejęli z książki pana hrabiego Coudenhove-Kalergis o Paneuropie. Agraryzacja „nowego ładu" wielce jest podobna w skutkach do tego, coby przyniosła paneuropejska unia celna Niemcom. Zniesienie barier celnych zrujnowałoby przemysł państw Europy wschodniej i południowej. Toteż w Polsce poza Aleksandrem Skrzyńskim i Aleksandrem Lednickim mało było zwolenników Unii Paneuropejskiej. Jeśli hitlerowcy do idei paneuropejskiej nigdy się nie przyznawali, to jedynie dlatego, że obmierzła była im pacyfistyczna frazeologia.

Wydobycie paneuropejskiej idejki jest sprawą znamienną. Rzecz nie sprowadza się do wywieszenia innego szyldu na bankrutującym przedsiębiorstwie „blok zachodni". Unia paneuropejska nie jest oczywiście do pomyślenia bez udziału Niemiec. Ale Niemcy nie są podmiotem prawa narodów i w żadnych organizmach prawa międzynarodowego uczestniczyć nie mogą. Wobec tego, że władza centralna w Niemczech tak prędko przywrócona nie będzie, cała sprawa wogóle nie mogłaby być rozpatrywana dopóki obowiązują uchwały poczdamskie. Wszelkie próby porozumień regionalnych muszą być podejmowane w ramach organizacji Zjednoczonych Narodów. Inaczej oznaczałoby to podważenie samych fundamentów pokoju i bezpieczeństwa.

Czyżby więc podróż do Brukseli Churchill chciał odrobić poczdamską ekskursję?

Stanisław Ehrlich

Nowe książki

DWIE POŻYTECZNE BROSZURY

Franciszek Fiedler: W sprawie granic Wschodnich, Książka, 47 str.

Franciszek Fiedler: Za waszą i naszą wolność, Książka, 56 str.

Broszurę Fiedlera „W sprawie granic wschodnich" można bez przesady nazwać rewelacyjną. Nie dlatego, by traktowała o rewelacyjnym przedmiocie. Znamy zagadnienie i znamy argumentację. Ale rewelacyjna jest jej dokumentacja. I na tym polega największa wartość pracy. Dokumentacja, pochodząca w większości ze źródeł przeciwnika, skrupulatnie zebrana przez autora, tworzy niezbitą podstawę jego wykładu. Całość jest tak jasna i przekonywująca, — co w poważnym stopniu jest zasługą jasnego, prostego stylu pracy, — że powinna znaleźć jak największe rozpowszechnienie wśród naszego społeczeństwa, a specjalnie wśród młodzieży szkolnej. Jednym z tematów wychowania antyfaszystowskiego, które powinno wejść w program nauczania naszych szkół, podobnie jak w Bułgarii, musi być sprawa naszych granic na zachodzie i na wschodzie. Broszura Fiedlera dostarcza wiele materiału dla tego zagadnienia.

Z niesłabnącym zainteresowaniem czyta się rozdział za rozdziałem broszury Fiedlera. A więc, Piłsudczyzna i germanizm. Na podstawie dokumentów pism Piłsudskiego i jego współpracowników przekonujemy się, jak obóz Piłsudskiego, idąc ręka w rękę z Niemcami w czasie pierwszej wojny i po jej zakończeniu, „przysłużył" się Polsce, doprowadzając do jej osłabienia na zachodzie.

Najbardziej kapitalny w broszurze jest drugi rozdział, pt. Pan chorąży Władysław Raczkiewicz. Jest to historia osławionego Naczpolu i legionu Dowbór-Muśnickiego, działającego na terenie Rosji. Jest to historia zdrady interesów Polski, zupełnie nieznana polskiemu czytelnikowi. Historia tym bardziej przekonywująca, że zrekonstruowana na podstawie prac współczesnych działaczy. Legiony, tworzone w celu walki z Niemcami, zostały przez Naczpol i p. Raczkiewicza jako jego prezesa oddane pod komendę Niemiec, zostały wbrew woli żołnierzy zamienione w oręż w ręku niemieckiego okupanta. Są to dzieje tak haniebne, że nie dziwota, iż próbowała je przemilczeć oficjalna historiografia sanacyjna. Tym bardziej pouczające jest opublikowanie ich dzisiaj.

Niemniej ciekawe i niemniej skrupulatnie udokumentowane są dalsze rozdziały, poświęcone zagadnieniu walki o granice wschodnie. Szerokie kręgi naszego społeczeństwa, wprowadzone w błąd przez sanacyjną propagandę i ciągle jeszcze nie orientujące się w historii naszych wschodnich granic, winny zapoznać się z tymi rozdziałami.

Słowem, niezwykle pożyteczna dla sprawy polskiej demokracji broszura.

***

Broszura Fiedlera „Za waszą i naszą wolność" została napisana w okresie walk w Hiszpanji, jako próba powiązania walki Dąbrowszczaków z tradycjami bohaterskiej przeszłości Polski.

Od 1830 roku po koniec XIX wieku prowadzą nas szkice Fiedlera przez drogi polskiej demokracji, walczącej za wolność waszą i naszą we wszystkich krajach Europy.

Jak autor zaznacza w przedmowie, broszura nie pretenduje do wyczerpującego oświetlenia materiału. Zawiera ona szkice z historii polskiej demokracji, które dzięki ciekawemu ujęciu przykuwają uwagę czytelnika.

A Sz.

DO WYDAWCÓW KSIĄŻEK

Związek Zawodowy Literatów Polskich zwraca się do wszystkich wydawców, którzy podczas okupacji zawarli umowy wydawnicze z członkami ZZLP — i przystępują obecnie do ich realizacji z wezwaniem, aby dobrowolnie uzupełnili wypłacone honoraria autorskie do wysokości norm przyjętych ogólnie w dzisiejszym obrocie wydawniczym. Związek stoi na stanowisku, że wszystkie umowy z pomienionego okresu zawierane były w warunkach dla pisarzy przymusowych i że wyrównanie honorariów jest obowiązkiem społecznym Wydawców, leżącym w ramach dobrych obyczajów handlowych. W stosunku do Wydawców, którzy uchylą się od wypełnienia słusznego zalecenia Związku wydany będzie pisarzom zrzeszonym zakaz zawierania z nimi w przyszłości umów wydawniczych.

Warszawa, w listopadzie 1945.

Zarząd Główny
Związku Zawodowego Literatów
Prezes
(—) JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Sekretarz Generalny
(—) ST. RYSZARD DOBROWOLSKI

SPROSTOWANIE

W nr. 11 Kuźnicy „Kronika ekonomiczna" prof. Natalii Gąsiorowskiej opracowana została na podstawie artykułu w czasopiśmie „Mirowoje chaziajstwo i mirowaja politika".

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

J. Z. Cieszyn. Wiersze Wasze zapowiadają talent. Cóż, kiedy wyrażacie treści uczuciowe sprzed lat bodaj czterdziestu. Tak mogła pisać Zawistowska, ale dzisiaj to naprawdę niewiele znaczy.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D—06253
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 21,—, kwartalna zł 63,—.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.